

Izabela Szolc

NAGA

Redakcja: Jacek Okarmus

Korekta: Joanna Skóra

DTP: Wydawnictwo AMEA

Okładka i logo serii: Twożywo

Wydanie I 2010

ISBN 978-83-929229-1-9

Druk i oprawa:

Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca SA

ul. Wrocławska 53,30-011 Kraków

Copyright by Wydawnictwo AMEA 2010

\aB

Wydawnictwo AMEA

Budzyń 111, 32-060 Liszki

tel. 012/256 02 56, faks 012/256 02 50

www.amea.pl

e-mail: [amea@amea.pl](mailto:amea@amea.pl)

To, co łączy wszystkie kobiety, to bycie kobietą.

Bette Davis

NAGA

To okropne. Naprawdę okropne. Robi mi się zimno. Dowiedziałam się właśnie, że mój mąż ma dziecko z inną kobietą. Szok! Jak mógł to tak długo ukrywać?! A ja -jak mogłam się nie zorientować? Chyba że chciałam... To taka zastarzała, „studencka” sprawa. Sprawa sprzedemnie. Sprzed nas. Co tu wyjaśniać? Patrzy na mnie jak ogłupiały, kiedyja, w histerii, padam jak ścięta na podłogę i zaczynam się więc z bólu. Z prawdziwego fizycznego bólu, który brzmi jak pęknięcie żeber. Czochram się o brudny dywan w swojej pracowni i nagle widzę, że leżę twarzą na zmiętym celofanie, pełnym rozpadających się szprotek, które kot ukradł i cwanię podrzucił pod biurko. Śmiech, płacz.

Mówię, że chodzi mi o kłamstwo, jakiego się wobec mnie dopuścił. A przecież w rzeczywistości chodzi mi o dziecko. O to, że jest!

- Wiedziałem, co robię, że ci nie powiedziałem.

Biorę ten śmierdzący woreczek pełen srebrzystych trupków, ogonów małych syrenek - rozłożą mi się w rękach. I rzucam tym wszystkim w mężczyznę, który jest miłością mojego życia. W mężczyznę, którego nie mogę opuścić, bo bym umarła. Któremu muszę wszystko wybaczyć, a całą zgryzotę, ból i urojoną winę wziąć na siebie, jakbym była żelaznym motylem. Jestem tylko zranionym do głębi człowiekiem. O Boże!

7

Worek nie pęka i sardynki uderzają o ziemię. Teraz dopiero znużone szwy puszczają...

- Otworzę tu okno - mówi. - Przyniosę ci wody, a może wolisz kawy? Co ty z siebie zrobiłaś? Gdyby cię ktoś teraz widział...

Gładzi mnie po włosach i z trudem - bo choć jestem lekka, to się zapieram - podnosi mnie.

- Wszystko się ułoży - szepcze w moją grzywkę.

„Wiem! Przecież wiem!” - chcę odkrzyknąć. I to jest w tym wszystkim najgorsze: że nie znajdzie się nikt, kto mógłby mnie dobić. Zabić. I czuję lód w dole brzucha, i rodząca się tam pustka ogarnia po kolei wszystkie moje członki, i wyrywa mi się z ust zwierzęcy skowyt. Cierpnę, pozwalam się zanieść do sypialni, jakbym była małą dziewczynką. Jakby nosił mnie ojciec, kiedy zasnęłam w łóżku rodziców, oglądając film. Mąż wciska mi w zęby jakąś gorzką tabletkę, którą przegryzam na pół i łykam. Czuję jej ślad głęboko w gardle.

Kiedy zadzwoni jakiś telefon, mąż będzie mówił, że mnie nie ma. Że nagle pochorowałam się i nie mogę podejść do aparatu. „Nie, to nic poważnego, pocierpi parę dni”. Albo będzie mówił, że śpię.

I przypomina mi się - mnie, najlepszej z historii, pierwszej z biologii, prymusce - zdanie, które wypowiedziała Elżbieta I, kiedy jej śmiertelny wróg, Maria Stuart, urodziła syna: „A ja jestem jak suchy pień!”.

Czuję się punktem. Nie mogę się ruszać. Nie mam gdzie pójść. Nie potrafię się zmienić.

Najgorzej jest rano, zaraz po przebudzeniu. Nie pamiętam swoich snów. Może to one, a może złość i żal, że istnieje następny dzień, chociaż świat powinien się skończyć, budzą we mnie tę pustkę. Bezruch.

Pozwoliłam zrobić sobie to zdjęcie. Mój przyjaciel, młody malarz, potrzebował w jakiejś kompozycji umieścić nagą, a mnie brakowało cierpliwości, by mu pozować. Nie byłam i nie jestem w stanie długo wytrzymać w tej samej pozycji. Za bardzo mnie to nudzi; zbyt prozaicznie boli mnie kręgosłup. Znajomi, podejrzewający u mnie charakter kota, mylą się na całej linii. Jestem raczej jak pies - „kręci-wierci” spaniel albo coś takiego. W marzeniach zawsze występuję jako pies myśliwski: wierny, lojalny, szybki. Kto by pomyślał, że takie rzeczy chodzą mi po głowie, gdyby spojrzął na moje ciało: długie, drobnej kości? To zdjęcie, z którego powstał obraz, jest tak skadrowane, że na górnej krawędzi układają się blade, rozchylone usta; zagubiony lok. Dół fotografii zamyka spojenie łonowe. Linia jest czysta, bo wszystkie włosy zostały zgolone. Jak w klasycznym malarstwie Ingres'a albo erotycznej mandze. Nic, czystość. Niewinność. Stulony początek. Ręce błądzą po tym ciele. Na jednej dłoni dwa pierścionki - srebrne i tanie. Jeszcze nie mam obrączki (choć w tamtych czasach znam już swego przyszłego męża). Sfotografowane ciało jest zdrowe i mocne. Bez historii, bez tajemnicy. To ciało, które czeka.

Mogłoby być ciałem Śnieżki.

Tak, naga mogłaby być Śpiącą Królewną; mogłaby być Złą Królową.

Tyle złudnych dróg, tyle rozwiązań.

Miałam siedemnaście lat i ochotę na dziecko. Taka ochota przychodzi z pierwszą miłością.

\*\*\*

Potem dwie nierządnice przyszły do króla i stanęły przed nim. Jedna z kobiet powiedziała: «Litości, panie mój! Ja i ta kobieta mieszkamy w jednym domu. Ja porodziłam, kiedy ona była w domu. A trzeciego dnia po moim porodzie ta kobieta również porodziła. Byłyśmy razem. Nikogo innego z nami w domu nie było, tylko my obydwie. Syn tej kobiety zmarł w nocy, bo położyła

się na nim. Wtedy pośród nocy wstała i zabrała mojego syna od mego boku, kiedy twoja służebnica spała, i przyłożyła go do swoich piersi, położywszy przy mnie swego syna zmarłego. Kiedy rano wstałam, aby nakarmić mojego syna, patrzę, a oto on martwy! Gdy mu się przyjrzałam przy świetle, rozpoznałam, że to nie był mój syn, którego urodziłam». Na to odparła druga kobieta: «Wcale nie, bo mój syn żyje, a twój syn zmarł. Tamta zaś mówi: «Właśnie że nie, bo twój syn zmarł, a mój syn żyje». I tak wykrzykiwały wobec króla. Wówczas król powiedział: «Ta mówi: To mój syn żyje, a twój syn zmarł; tamta zaś mówi: Nie, bo twój syn zmarł, a mój syn żyje».

Następnie król rzekł: «Przynieście mi miecz!» Niebawem przyniesiono miecz królowi. A wtedy król rozkazał: ((Rozetnijcie to żywe dziecko na dwoje i dajcie połowę jednej i połowę drugiej. Wówczas kobietę, której syn był żywy, zdjęła litość nad swoim synem i zawołała: ((Litości, panie mój! Niech dadzą jej dziecko żywe, abyście tylko go nie zabijali!)) Tamta zaś mówiła: ((Niech nie będzie ani moje, ani twoje! Rozetnijcie!)) Na to król zabrał głos

i powiedział: ((Dajcie tamtej to żywe dziecko i nie zabijajcie go! Ona jest jego matką». Kiedy o tym wyroku sądowym króla dowiedział się cały Izrael, czcił króla, bo przekonał się, że jest obdarzony mądrością Bożą do sprawowania sądów1.

1 Pierwsza Księga Królewska, 3,16-3,28, Biblia Tysiąclecia,

Pallottinura,

Poznań-Warszawa 1980.

Wychowano mnie na mózg. Intelktualistkę, a nie ladcnicę. Intelktualistkę, a nie kurę domową. Nie zda-  
wałam sobie sprawy, jakie to durne. Że nie ma takich  
podziałów. Nie istnieją. Nierządnicą Maria Magdalena  
zmienia się w filozofkę, trawiącą czas nad nagą czaszką.  
Co odważniejsi w czasach nowożytnych mówili o niej jako  
o najlepszym uczniu Chrystusa. W każdym razie ja (mózg)  
potrafię swojej kości (ciału) sporo narzucić, od wielu rze-  
czy się powstrzymać. Pozbawiać się, pozbawiać i pozba-  
wiać: jedzenia, radości, tańca, by tylko zniknęło to ciało.  
Ciało, które sprawiło, że ojciec przestał ze mną rozmawiać.  
Ciało, dzięki któremu moja matka bliska jest obwąchiwa-  
nia mi majtek i zakazuje noszenia sukienek. Mój przyszły  
mąż, kiedy pierwszy raz się kochamy, a ja mam lat siedem-  
naście, mówi: „Jak ty jesteś ślicznie zbudowana”. Wtedy  
świta mi w głowie, że już go nie opuszczę. Kocham go.  
Kocham go. Zakazał mi myśli o posiadaniu dziecka.

Przyjęłam to.

Myślałam, że mam jeszcze czas. Że przyjdzie po trzy-  
dziestce, czterdziestce, a nie teraz - niezapowiedziana,  
w dwudzieste piąte urodziny. Wiedziałam, że raczej nie  
będę miała dziecka. Nie zdawałam jednak sobie sprawy  
z tego, co to w pełni oznacza, aż do teraz. Rozpacz.

I nagle wiem, że wszystko, co przeżywam, to żałoba.

Opłakuję nigdy nie mające się urodzić dziecko. Dziecko,  
którego miejsce jest już zajęte.

- To powinno być moje dziecko, a nie tej suki - wrzesz-  
czę. - Przecież się kochamy. Kochamy się? To tak, jakby  
ukradła kawałek ciebie.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Bo zapomniałem. Zapomniałem o tamtym życiu.

Wiesz, że nawet pomyliłem imię. Nie pamiętałem.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Bo nie chciałem cię stracić.

Na te słowa wybucham strasznym, obłąkańczym śmiechem.

- Nigdy, nigdy bym się z tobą nie związała, gdybym wiedziała. Nie po hecach z moimi przyrodnimi siostrami. Pozbawiłeś mnie możliwości decyzji. Wtedy i w ogóle. Nie będę miała z tobą dziecka. To jest okrutne.

- Wobec mnie czy ciebie?

W tym całym zamieszaniu ginie mężczyzna. Zostają dwie kobiety i dziecko.

\*\*\*

Zakazałam zbliżania się do siebie. Nie mogę znieść dotyku, penetracji. Chcę być sama, zamknięta niczym posąg. Tymczasem najwyraźniej zamieniam się w matrioszkę. Ja, która nigdy nie paliłam, teraz zużywam dziennie paczkę papierosów. Jeszcze biegunki, upławy, bóljajników. Jestem już pewna, że to ciąża, ale nie rezygnuję z łykania marvelonu. Nie idę też do lekarza. Ślęczę nad komputerem, to jedyny dla mnie teraz zawór bezpieczeństwa. Miesiączka spóźnia mi się już dwa tygodnie, a rano, po wyjściu z łóżka, łapią mnie mdłości. Łóżko jest wąskie,  
12

panieńskie. Niczym żelazna dziewica śpię w swojej pracowni. Nie daję się pocieszyć, nie daję sobie przemówić do rozsądku. Krzyczę na propozycję umycia włosów. Tak, on chciał zaprosić mnie do łazienki i wziąć moją małą głowę w duże, silne dłonie (piękne; to na nie pierwsze zwróciłam uwagę u swojego męża - opalone ręce z gładkimi nadgarstkami, cudowne). Wmasować szampon, spłukać, podać odżywkę - byłaby to czysta pieśczość... Nie! Nie zgadzam się. Dla mnie nie da się połączyć bólu z rozkoszą (albo tylko tak mi się wydaje). Po wtóre, jeśli pozwolę, by ten rozdzierający ból ustał, to czy nie będzie tak, jakbym była tylko chwilową histeryczką, jakby życie - bez niego - było tylko społecznym fałszerstwem? Czy ktoś, kiedy nie

placę, spróbuje mnie zrozumieć? Pojmie krzywdę, którą mi wyrządzono?

W pracowni jest lustro; wisi na ścianie, do której bokiem przystawiono biurko. Stare, zaśniedziałe na rogach - mąż znalazł je na śmietniku. Ktoś wydobył je z ozdobnej ramy i wyrzucił, ale wiekowy kryształ nie pękł. Ma dwa, dwa i pół metra wysokości. Do domu tachało je dwóch mężczyzn. Czasem, kiedy pracuję, obracam się lekko i patrzę w srebro. Widzę odbicie - niby ja, a jednak nieja. My dwie - czuję się wtedy mniej samotna. Pewnego dnia nakryłam swego szarego, tłustego kota, jak stojąc na tylnych łapach, przednimi chciał się wydrapać przez lustro na drugą stronę rzeczywistości. Nie udało mu się i dał sobie spokój. Ja nie jestem kotem.

Zrzucam dres, w którym zwykle piszę (ubranie nie uciska, bezkształtne, bez tożsamości, jaka mogłaby rozpraszać). Naga, przeglądam się w lustrze. Schudłam, ale to akurat jest najmniej ważne. Łono zakwitło włosami. Brzuch jest napuchnięty. Twardy i gorący. Piersi nie mieszczą się

13  
już w dłoniach, którymi próbuję je nakryć. Sutki znalazły sobie ścieżkę pomiędzy kościstymi palcami i wychynęły na świat. Jestem przekonana, że gdybym nacisnęła mocniej, na sutkach pokazałyby się krople mleka. Mleka, które, jak dowodzą naukowcy, składem chemicznym nie różni się od łez. Moje piersi by się rozpląkały. Jestem beksą.

Ciąża rzekoma, ciąża urojona, ciąża historyczna. Przydarzyło się to kiedyś suce mojej koleżanki, która przez wiele kolejnych lat nie miała miotu. Jestem tą suką. Nie-realne pragnienie ciałem się stało. Coś, co powinno być godne podziwu, jest powodem, dla którego będą się nade mną litować albo śmiać ze mnie. Albo mówić: „Dobrze jej tak!”. Od jednego do drugiego można dojść jak po sznurku. Rachelę zaś widząc, że nie może dać Jakubowi potomstwa, zazdrościła swej siostrze i rzekła do męża: «Spraw, abym miała

dzieci; bo inaczej przyjdzie mi umrzeć Jakub rozgniewał się na Rachelę i odparł: «Czyż to ja, a nie Bóg, odmawiam ci potomstwa?» Wtedy ona powiedziała: «Mam niewolnicę Bilhę. Zbliź się do niej, aby urodziła dziecię na moich kolanach; chociaż w ten sposób będę miała od ciebie potomstwo». Dała mu więc swą niewolnicę Bilhę za żonę, i Jakub zbliżył się do niej. A gdy Bilha poczęła i urodziła Jakubowi syna, Rachelę rzekła: «Bóg jako sędzia otoczył mnie opieką; wysłuchawszy mnie dał mi syna»<sup>2</sup>.

\*\*\*

- Bękart. Pierdolony bękart!

- Tak powiedzieli?

2 Księga Rodzaju, 30,1-30,6, Biblia Tysiąclecia, Pallottinum, Poznań-Warszawa

1980.

14

- Powiedzieli: „Kiedy z nim mieszkałeś, to był twój syn, od kiedy się wyprowadziłeś, to jest bękart”.

- Czujesz coś do niego?

-Co?

- Boja wiem... Może poczucie tożsamości?

- A ty czujesz coś do swoich obciętych paznokci, porzuconych zębów?

- Powiedziała: „Będziemy mieli dziecko”. I żeby nie było nieporozumień: nie usunie.

- Nie powiedziała, że jest w ciąży? „Jestem w ciąży”, raczej tak o sobie mówią kobiety...

- Ożeniłem się z nią, bo trzynaście lat temu nikt nie wiedział, że można inaczej. Komuna upadała, Kościół dął w trąby.

- Mówiła, że czasem się uśmiechałeś, kiedy ktoś przychodził.

- Przy swojej rodzinie nigdy.

- A przy jej rodzinie?

- Byłem dobrze wychowany.

- To obrzydliwe.



- Ciebie nie powinno to brzydzić. Jedynie mnie.  
- Wyszedłem z domu, jak co dzień. Potem spotkałem się z nią na mieście i powiedziałem, że już nie wrócę.  
- Po rozwodzie spotkałem ją jeszcze raz, w nowo otwartej knajpie na obrzeżach miasta. Była z przyjaciółką. Obiecałem kumplowi postawić drinka, ale kiedy ją zobaczyłem,  
15

powiedziałem, że kupimy w sklepie whisky. Jednak podszedłem do baru...

- Tam, gdzie siedziała?

- Tak. I powiedziałem coś chamskiego: „Kiedy wychodzicie?”. Potem tę przyjaciółkę spotkałem na sylwestrze w górach. Stwierdziła: „Ta twoja była to ciągle się puszcza”.

\*\*\*

Boli! Boli! Zostawcie mnie samą!

Zabarykadowałam się w pracowni. Mąż napiera na drzwi. Przesuwa się przystawiona do nich komódka. Patrę na to wszystko. Mąż wciska się w powstały otwór i łapie mnie za ramię. Syczę i płaczę.

- Nasze dziecko byłoby kochane - mówi mój mąż.

Płaczę mu w pierś, ukryta w ramionach, a potem - na chwilę - przychodzi spokój.

W istocie, syna z pewnością można nazwać maminsynkiem

- matczyne chromosom X żyje w każdej komórce jego ciała. Nie ma tu wielkiego wyboru - to jedyny X posiadany przez mężczyznę. W jego organizmie działa więcej, tysiącrotnie więcej genów matki niż ojca<sup>3</sup>.

Tańczę. Sama z sobą. Sama dla siebie. Może nawet (jeszcze nie zdecydowałam) sama dla innych.

Zasadniczo jest to rytuał. Ma coś z szamańskiego wyzwolenia energii. Rytuału przejścia. Rozchylono mnie ordynarnie, niby ostrygę, prymitywnym nożem. Otworzę się do końca, a później - nowa (inna?) - zamknę. Aż do 3 Natalie Angier, Kobieta. Geografia intymna, Prószyński i S-ka

2002.

16

następnego razu, który wyrządzi mi Bóg. Który zostanie mi wyrządzony z powodu Boga, albo coś...

Surowy podkoszulek jest mokry pod pachami. Trzaskam włosami na boki. Krople potu spływają po plecach. Madonna śpiewa Nobody knows me.

Pusty celofanik po OB gniotę bosymi stopami. Nigdy ciało nie pachniało tak intensywnie.

Trzeba wziąć wreszcie prysznic. Skończyć pisać książkę.

KOCHANKA

Mount Everest, K2, Kanczendzonga, Lhotse, Makalu, Czo Oju, Dhaulagiri, Manaslu, Nanga Parbat, Annapurna I, Gaszerbrum I, Falchan Kangri, Gaszerbrum II, Sziszapangma - moje rywalki. Góry.

Wszystko zaczęło się od zapachu dezodorantu kupionego gdzieś w czasie autostopu pomiędzy Holandią a Niemcami. Tego, który wkrótce miał przeniknąć mnie, wziąć w objęcia. Podobno tak się zdarza. Podobno ludzie potrafią się zakochać najpierw na przykład w imieniu (które pada podczas towarzyskiej rozmowy), a dopiero później w kimś, kto je nosi. Znałam kobietę, której to się przydarzyło. Ja zostałam uwiedziona przybraną wonią, śladem kogoś dopiero co obecnego, który doprowadził mnie do miłości z kości i krwi.

W perfumerii staram się ten zapach kupić; odzyskać. Poszukuję go pośród tych, do których drogowskazami są przystojni mężczyźni na plakatach. Mężczyźni w objęciach kobiet albo samotni, zachwycająco nadzy. Buteleczka po buteleczce trzaska o blat. Odczytuję nazwy sięgające do podświadomości. Imiona noszące emocje, które podobno można kupić w fikuśnej fiolce, kosmetycznej piersiówce. Zapewnić sobie ich przychylność. Perfumy jak nazwy potraw, które czuje się na języku, a potem od

razu w brzuchu. Pokarm dla mózgu, ucza dla jego zmy-  
18

słów. Jest wieczór, a mnie przypadła niewdzięczna rola ostatniej klientki. Jestem świadoma spojrzeń, jakie ponad moją pochyloną głową, podrażnionym nosem wymieniają zniecierpliwione konsultantki. Nie pora się tym przejmować, trzeba trwać w absurdzie. Moje nozdrza po trzecim pachnącym korku odmówiły posłuszeństwa. Gardło mam ściśnięte, wysuszone. Moja desperacja jest desperacją porzuconej Kochanki Słońca, która, poszukując jeszcze jednej szansy, obeszła kulę ziemską w ołowianych pantofelkach, pomagając sobie metalowym czekaniem.

- Myślę, że to - mówię w końcu, kiedy salon od dwudziestu minut powinien być już zamknięty. Kobiety nie komentują wyboru - purpurowy joop. Nie nadskakują, nie próbują skusić do czegokolwiek więcej - nie można teraz tego od nich wymagać.

Brzęczyk akceptujący kartę kredytową.

Konsultantka z westchnieniem ulgi sięga pod blat po ozdobny papier, lśniąca wstążkę. Jedno i drugie niebieskie. Jej koleżanka przybywa z pomocą, sięga po pozostałe rozstawione buteleczki, które razem dają złudzenie nierozegranej i nudnej partii szachów; w innym czasie mogłaby budzić zaniepokojenie... Pomocnica wkłada perfumy do kartonowych pudełek o bezdźwięcznych dnach. Dalej - odkłada na półki.

- Dziękuję - mówię. - Dobranoc.

Odpowiada cisza.

Tamto przyjęcie. Nie miałam ochoty na nie pójść, ale podobało mi się, jak znajomi mnie o to proszą. Stawałam się przez to jakby bardziej obecna (myśleli o mnie, czekali na mnie), pożądana. Sprawiające przyjemność, zupełnie nowe uczucie. To zwykle ja kogoś pragnęłam. Zresztą, jeśli

19

o to chodzi, tamten wieczór jednak nie był wyjątkiem. Ale

był wyjątkowy.

Zapach męskiego dezodorantu w długim korytarzu.

Pizmowy, a jednocześnie gorzki. Cierpkość wyłapywana z powietrza, która osiada na języku. Śmiechy oraz wokal Noah Roberts jako osobliwa zapowiedź. Mogłoby to się nie dziać naprawdę, mogłaby to być scena w filmie, a co więcej: zyskiwałyby w ten sposób nieśmiertelność. Nie jestem głupia, wiem, że uczucia mijają; że najpiękniejsze z nich zmieniają się w potwoki. Czas jest dlań gorszy niż dla modelek - uczucia zwykle brzydko się starzeją. Jednak...

Tamto nagłe olśnienie wciąż trwa przy mnie, mogę w niego je przywołać.

Oczywiście to jest kobieta. Fascynujący jest sposób, w jaki nosi na sobie woń, wyprodukowaną dla zdobywczych mężczyzn. Twarz ma starszą, niżli (dowiem się później) wynikałoby z wieku. Spieczona usta, jakby było jej bardzo gorąco. Jest zima. Śliwkowa pomadka wchodzi w zagłębienia warg jak złośliwa, niemogąca się ułożyć na ciele sukienka. Zwierzę obdarzone rozumem. Kobieta ubrana jest w srebrzystą krótką sukienkę; wąskie tasiemki utrzymują ją na ramionach.

Ubranie nie pasuje do niej. Jest zbyt delikatne... Cóż, okazuje się, że miłość może wyrósć z zaprzeczeń, z niedostatku.

Podchodzi do mnie. Zegar gdzieś bije. Fajerwerki.

Przykłada głowę do policzka. Nie różnimy się od innych par. Zamiast życzeń słyszę:

- Nie mam gdzie spać. Podobno mieszkasz sama.

Nie ma w tym pytania.

- Tak, to prawda.

I przyjmę ją do siebie, wraz z połamanymi paznokciami, siniakami, krótkimi włoskami w kielichu

20

pach oraz z zapachem, który po roku nie daje mi spokoju.

Przed powrotem do domu wchodzę jeszcze do sklepu

po tabliczkę czekolady. Wybieram najgrubszą, nafaszerowaną orzeszkami i rodzynkami: prawdziwy róg obfitości. Przekraczam próg mieszkania i słyszę szemrzący - zupełnie bez sensu - telewizor. Znowu, znowu to zrobiła - myślę. Zasnęła. Kasetą VHS z jakimś niedorzecznym serialem (który przepuściła, bo nie było jej tutaj, na miejscu) doszła do końca i zatrzymała się.

Ciało, rozciągnięte na kanapie, całe jest snem. Nie traci energii na nic innego. Żaden z palców z krótko obciętych paznokciami nie zadrży, nie uniesie się. Oczy są nieruchome pod powiekami. Nie tak, by można było wyspać się do syta, ale by spać na zapas. Zapamiętać, o co chodziło w tej, zdawałoby się, prostej, przyrodzonej funkcji organizmu. Ciało.

Na wysokości siedmiu tysięcy metrów, w której lubuje się określający to ciało umysł, bywa, że zaśnięcie graniczy z niemożliwością. Wysokogórska bezsenność. Objaw nie tyle zdenerwowania, co choroby. I to ciało, które wielbię, wystawia się na tę chorobę. Piersi podnoszą się i opadają. Rozluźnienie. Pod podkoszulkiem oprócz łagodnych wzniesień (absolutnie nie imponujących) nie rysuje się nic. Ten tors jakby należał do dziewczynki, do Śpiącej Królowej przed swym pierwszym pocałunkiem. Jak wysoko wzniosła się jej dusza? Tak wysoko, że nie przegoni jej żaden ptak.

Oddycham z ulgą. Wstydzę się tego, ale nauczyłam się żyć w samotności, w pragnieniu jej. W niełumaczeniu

21  
uczynków. Oczywiście, nie wpływa to w żaden sposób na pojęcie strachu czy tęsknoty. Do tego potrzeba nudy. Nuda nie jest poza naszym zasięgiem, ale zatrzymała się wystarczająco daleko, by można się było nią nie przejmować.

Czekoladę kładę na blacie w kuchni. W sypialni zdejmuję z perfum ozdobne opakowanie. Papier podrę i spuszc-

czę w toalecie. Gorzej będzie ze zniszczeniem wstążki - schowam ją do spodni. Moja dziewczyna nigdy nie grzebie mi po kieszeniach, małe tajemnice nie obchodzą jej. Mnie -tak.

Perfumy - w których drga owa holenderska nuta - chowam w głębi komody. Kupiłam je dla siebie. Otwieram sąsiednią szufladę i widzę, że wyjęto z niej prawie wszystko (nigdy nie było tego wiele). Sportowe staniki, bokserki, grube skarpety zmieniły miejsce. Została na otarcie łez para samonośnych pończoch. Nienoszona.

Przygotowała zdjęcia. Leżą w białej kopercie, kupionej za grosze na poczcie. Zabierze je ze sobą. Nie robi tego dla siebie - nie ma alzheimera, wspomnienia jej się nie zamazują. Zrobi to dla innych... Odpukuję raz w nocny stolik. Odbitki kleją się do spoconych palców. Rozkładam je jak wachlarz - na żadnej nie ma nas. Matka Klary (takie imię nosi moja dziewczyna) nie wie, kim naprawdę jest jej córka. Opatulone dziecko, które macha ręką, siedząc na grzbiecie owczarka podhalańskiego. Lesbijka. Ta nazwa, raz wypowiedziana głośno, spoliczkowałaby matkę. To, że słowo podszyte jest moją miłością, nie ma znaczenia.

Tamta matka chce wnuków i brązowych szminek kupowanych na imieniny, nie Gór, nie „nas”. Z jej niechęcią do Gór prawie się zgadzam - proszę, jakie mogłybyśmy się stać podobne.

22

Mallory obiecał, że jeśli zdobędzie Mount Everest, to na jego szczycie zostawi zdjęcie żony. Kiedy odnaleziono jego ciało - po siedemdziesięciu pięciu latach bycia ani tu, ani tam, w Krainie Domysłu -jego kieszenie były puste. Dla tamtej matki jestem czyjąś córką, w żadnym razie nie porywającą kobietą, jestem projektantką czegoś tak przyziemnego jak meble (nie można teraz pozwolić sobie na oryginalność?), teoretyczną i bezpłodną admiratorką dzieci, ale nigdy tym jednym jedynym, którym pragnę

być: człowiekiem w tym najważniejszym ujęciu - kochanką Klary.

Aż za dobrze znam zdjęcie, którego róg tworzy jeden ze szczytów korony wachlarza. Musiała je od kogoś dostać; albo obie kupiły po jednym egzemplarzu magazynu, wyrwały stronę (lub pieczołowicie wycięły - przynajmniej Klara), a resztę wyrzuciły, nie przyznając się, że gazeta, ba, dwie gazety zagościły w tym samym czasie w ich domu. One. My.

My, do cholery! Kwaśna ślina, jak po wypiciu o jedną filiżankę kawy za dużo, zbiera się w moich ustach. Pulsuje w skroniach. Ogarnia mnie złość. Złość jest dobra na wszystko, oto uczucie ani zbyt finezyjne, ani zbyt osobiste. Nieuchronnie prowadzące do mdłości. Na zdjęciu, które od początku wyprowadza mnie z równowagi, jest ciało. Obdarłe z ubrań siłą upadku, tu i tam obgryzione przez goraki; za to zachował się biały ekran nienaruszonych, umięśnionych pleców - to błysk na łopatkach przygnał tu alpinistów. Oto George Mallory w roli Śmierci. Rzecz Przejmująca, ale nie gwiazdorska - do zagrania dla statysty!

Co mają te Góry, czego ja nie mam? Dlaczego ona chce umierać?

Ręka Klary na moim ramieniu.

- Obudziłaś się.

-Tak.

Ani słowa o tym, że nie powinnam przeglądać tych zdjęć ani się tak napinać. Irytujący dar obojętności: „Kochanie, skoro musisz to robić, to rób to. Akceptuję to. Akceptuję neurotyczność i trwogę. I moją, i twoją”.

- Dlaczego się wspinasz?

- Żeby być bliżej Boga. Bliżej siebie.

- Dalej ode mnie.

- Dlaczego się zadreczasz? Pokochałaś mnie po to, żeby zabić?

- Góry cię zabijają.

- Może. Może nie. Zawsze myślę o tobie.

Chodzi jej o to, że tam, w górze, na szczycie świata, zdjęcie, które nigdy nie zostało zrobione, jest najważniejsze.

Pieką mnie oczy. Gwałtownie mrugam.

- Do Góry nie można się przytulić.

Usta Klary mają smak czekolady.

Kiedy jest obecna - mocniej niż w myśli - zawsze o tej samej porze bierze wieczorny prysznic. Nie uznaje ręczników, ich tarcia o skórę. Chodzi po pokoju naga, tylko z papierosem. Nie potrafię się od niej uwolnić: zaraz w ruch idzie druga fajka (pali nałogowo, chyba że jest w Górach; to nie paradoks, ona tam odzyskuje czystość), tak bardzo istnieje - aż na granicy mojego bólu - to blade, umięśnione ciało, z którym kontrastuje spieczona, ciemna twarz. Czarne, krótkie włosy. Wilgotne runo.

- Mam iść spać na kanapę?

- Tak, idź.

Szanuje mój strach, mój lęk, moją złość. Ja nie mogę powstrzymać się od dotykania, ale jeszcze jeden kolejny gest obie by upokorzył. Klara podsuwa mi pomysł. Daje mi sprzeciw. Później odchodzi. Na kanapę.

Ludzi, których kochamy, powinniśmy rozumieć, ale ja jej nie rozumiem. Ani śniegu, ani mrozu, ani wysokościowego braku tchu. Rozczarowuję samą siebie i jest to najdotkliwszy rodzaj bólu. Klara: moje serce, moje ciało, moja dusza. Słyszę, jak się krząta w pokoju obok. Myśli intensywnie, czy zapakowała wszystko to, co powinna wziąć.

Robi to zupełnie niepotrzebnie, ma instynkt nomady - w jej bagażu jest wszystko, co ratuje życie, a niczego, co czyni ciężkim. Żadnych złych przeczuć, fatalistycznych bzdur, dodatkowych okularów, oprócz ogólnie przyjętych dwóch par. Klara jest wykuta na obraz i podobieństwo Wolnej Woli.

Szmery ustaną, telewizor zostanie wyłączony. Klara



ukłęknie przed kanapą nakrytą śpiworem i zmówi modlitwę. Jej głos ani razu się nie załamie, ani razu nie zatrzyma; będzie to jednak głos dziewięcioletniej dziewczynki. Jestem zazdrosna o Boga. Że ona potrafi Mu tak zawierzyć, a mnie już nie (rozsądna mała). Że potrafi bez widocznej ulgi, właściwie obojętnie wypowiedzieć słowa: „Wybacz nam nasze grzechy, jak i my wybaczymy naszym winowajcom”, które mnie nigdy nie potrafiły się zmieścić w gardle. I że potrafi wybaczyć Górom, które zabrały ojca i pochowały go na stoku Annapurny, w lodowej łoży znaczonej strzępkami ubrania i krwią.

Aniele Boży, Strózu mój,  
Ty zawsze przy mnie stój.  
Rano, wieczór, we dnie, w nocy  
Bądź mi zawsze ku pomocy.  
Strzeż duszy i ciała mego,  
Aż do żywota wiecznego. Amen.

Zapytałam ją, dlaczego nie jest buddystką. Z tego, co się zdążyłam zorientować, większość jej znajomych, którzy odkryli Indie, Nepal, zraniony Tybet, zmienia religię. Ich ubrania pachną paczulą, mężczyźni pod golfami noszą sandałowe paciorki. I są w tym tacy naturalni, że mogę to tylko przyjąć z pokorą. Góry ich wykradają. Chcą być coraz doskonalsi, a potem rzucają się w ramiona Czomolungmy.

- Nie masz o tym pojęcia. Tak jak i oni. Nikt z nas - mówi do mnie. - Szerpowie gardzą nimi. Nie potrafią zrozumieć, jak można zdradzić własne korzenie.

- A jeśli coś cię zmusi?

- Nic do niczego nie może cię zmusić... Wolna Wola.

Podobno dziwne rzeczy widuje się powyżej granicy siedmiu i pół tysiąca metrów. Zjawy, nagie dzieci tarzające się po śniegu, kobiety w czerwonych koktajlowych sukienkach, jakby przeniesione żywcem z ulic Paryża. Może nawet Jezusa, może ojca. Męża, który w rzeczywistości

czeka gdzieś w domu. Obcego himalaistę. Można też zobaczyć światło. Można też zobaczyć krzyk.

Ja podobnie widzę tylko w snach. Szklane góry, których szczyty giną w chmurach. Rycerze na koniach o kopytach podkutych gwoźdźmi. Twarz Klary, jeśli widmowa przyłbica zostanie uchylona. Przed wyprawami wołałabym nie spać, wołałabym otulić się w szarą, wilgotną bezsenność, ale tak nigdy się nie zdarza. Puls nie skacze, apetyt nie maleje. Mózg domaga się snu.

Piszczenie mikrofalówki działa lepiej niż brzęczący budzik ustawiony w wiadrze.

26

Wkładałyśmy składkowe pieniądze - trocheja, trochę ona - do wazonika wymalowanego w bratki, stojącego na wiszącej półce w kuchni, ponad linią różowych kafelków. Najpierw kupiłyśmy toster, później mikrofalówkę. Dziecięca radość z kupienia tej ostatniej jeszcze nam nie przeszła. Odmrażanie, podgrzewanie, gotowanie. Naszych zapałów nie ostudziła nawet katastrofa z jajkiem, które miało być na miękko, a którego żółtko wyskoczyło ze skorupki i pękło z hukiem.

Właściwie to szczerze cieszy się Klara. Cieszy się z domu; ja, zamiast jej w radości sekundować, boję się. Cierpię na lęk separacyjny. Toster, mikrofalówka, dom; mowa-trawa.

Śnieg, mróz, ciemność. Opowiadam to jako barową anegdotę, ale przeżycie było przerażające: rodzice zabrali mnie na przejażdżkę sankami. Szli z przodu, ojciec ciągnął za sznurek. Rozmawiali, byli sobą zaaferowani - tak przypuszczam. Zsunęłam się z sanek w śnieżną zaspę, a oni tego nie zauważyli (nikt nie zauważył, w ten zimowy wieczór, w środku miasta), ojciec nie poczuł. Leżałam w milczeniu. Możliwe, że w głębi duszy wierzyłam, że po mnie wrócą (bo i wrócili: doszli do końca ulicy, gdzie zorientowali się, że zostałam zgubiona). Możliwe, że pragnęłam

zniknąć.

Trzaskanie kubków: jako krótkowidz oraz zatrwożona kochanka słuch mam bardzo wyostrzony. Dużo potrafię wyczytać z samego szurania stóp o podłogę, odgłosów niby codziennego krzątania; nawet z ciszy.

Klara robi herbatę w mikrofalówce. Osobliwa czynność jak na kogoś, kto przez długie tygodnie skazany jest na sprite'a oraz liofilizowaną żywność. Jawnie marzy o konserwach „nieszczęśnika Mallory'ego”, z przepiórczym

27

mięsem. I wciąż od nowa topi śnieg. Usłyszałam kiedyś, że na wysokości „strefy śmierci” śnieg jest tak czysty, że wodę z niego trzeba zagęszczać sokiem malinowym, bo inaczej mogłaby zaszerwować potężny wstrząs w organizmie. Nie zdążyłam zapytać Klary, czy to prawda.

Co ona sobie myśli, wygoniona na kanapę?

Co myśli o mnie? Nigdy nie można być pewnym tego, co o nas sądzą kochankowie.

Budzę się na środku pustego łóżka; pustka uwiera. Nie mogę leżeć, nie chce mi się wstawać.

Na ośmiu himalaistów jeden nie wraca. Jeśli chodzi o duże wysokości, statystyka jest gorsza. Z tych, którzy przekraczają granicę siedmiu i pół tysiąca metrów, przeżywa mniej niż połowa. Za oknami świta. Mimowolnie (jakże bym chciała teraz takie obrazy od siebie odepchnąć!) przypomina mi się świt oglądany razem z Klarą. Późny świt zimy, który po miłości kołysał nas do snu...

Spoglądam w elektroniczny budzik: dwunasty maja; rocznica zaginięcia Wandy Rutkiewicz na Kanczendzondze. Dwunasty maja. Zapowiada się wyjątkowo piękny dzień.

W łazience opłukuję twarz, nabieram lodowatej wody w usta - chłód przenika zęby jak elektryczne wyładowanie. Spoglądam w lustro, jakbym spodziewała się ujrzeć w nim obcą osobę albo zgoła nic.

Prześwit korytarza zasłania wypchany plecak marki Alpinus. Nie dałabym rady go podnieść. Jestem zbyt wątpa; a może za mało zdecydowana. Klara spakowała tam ulu-  
1 Simon Mawer, Upadek, tłum. Małgorzata Żbikowska, Świat Książki 2004.

30

biony czekan, „fartowne” raki. Z głowicy suwaka zwiesza się pluszowa papużka falista. Niebieska -jej kolor nie został poddany przypadkowi, Klara go wybrała, tak jak i zrobiła to ze mną. Klara, która umieściła wewnątrz mnie - za jednym zamachem - czułość oraz strach.

Reszta bagażu została już wysłana do Katmandu.

Siedzi przy kuchennym stole i zwija pusty papierek po czekoladzie.

- Powinam była kupić jeszcze jedną.

- Dobrze zrobiłaś. W przeciwnym razie zjadłabym je wszystkie. Jestem jak dziecko.

- Nie tylko w tym jednym - nie potrafię się powstrzymać od wypowiedzenia tej nieprzyjemnej uwagi, i ona o tym wie. Nie przejmuje się za bardzo. Przynajmniej nie tym razem.

- Kiedy przyjadą?

- Mam jeszcze trochę czasu.

Kiwam głową, że przyjmuję to, iż jej nieobecność zostanie jeszcze odwleczona. Nalewam z ekspresu kawę, wczoraj zaparzoną, o której wiem doskonale, że nie da się jej pić.

- Kto będzie twoim partnerem?

- Krzysztof. Nie znasz go. Ale jest miły.

Wyprawę na ośmiotysięcznik organizuje nepalska agencja. Jej uczestnicy poznali się przez internet.

- To mi nie wystarcza.

- To porządny facet. Wolałabyś, żebym szła z kobietą?

- Sama nie wiem. Może... Tak.

Kiwa głową. Nie wzdycha, nie obraca się w miejscu, nie patrzy w jeden punkt - to wszystko, bo nie jest mną.

- Nie powinnaś tego pić - myśli o starej kawie.

Odstawiam kubek, bo i czemu nie miałabym tego zrobić? Raz mogę posłuchać.

Unosi ręce, wysoko ponad głowę; przeciąga się.

- Nie wzięłam wczoraj prysznic, wiesz? - Pauza. - A teraz mam ochotę.

Idzie do łazienki.

Odczekuję chwilę, a później idę za nią. Tak jak się spodziewam, klamka ustępuje pod moimi palcami.

Obok kosza na bieliznę rozrzucone są ubrania: czyste splecione z brudnymi. Szum. Krople deszczu bijące o parapet, ganek domu, w którym, będąc dziewczynką, spędzałam wakacje. Powietrze jest krystalicznie czyste, jak po burzy. Sama woń ciała - Klara unika pachnących olejków, esencjonalnych mydeł. „Chcę być naga sama z sobą”, mawia. Co innego później... Moje myśli biegną do perfum zamkniętych w szufladzie. To przez wodę z lodowca; Klara jest taka przez górskie kąpiele. Sylwetka na mlecznym szkle kabiny prysznic. Jeszcze jeden krok do przodu. Krok za krokiem, do celu. Jasność w głowie.

Wchodzę do brodzika, nie przejmując się, że bawełniana piżama nasiąka wodą. Klara mnie obejmuje. Muskamy się nosami. Twarz bada twarz. Całuję ją, a krople wody wpadają do ust. Językiem odnajduję odmrożenie na szyi. Płatek skóry wielkości płatka śniegu, tego z bajki. Zniszczona tkanka, bez koloru, którą najtrudniej rozgrzać. i która pierwsza marznie, przed całą resztą ciała. Słodkie utrapienie.

Posuwam się w dół. Ręka mija obojczyk, chwytą sutek. Łapię oddech na dwóch piersiach, poruszam się szlakiem pomiędzy nimi.

Klara zagnana w kąt, oczy ma zamknięte, głowa odrzucona. Brzuch. Łono. Udo. Kto spamięta te nazwy? Która będzie odważna na tyle, aby to zrobić?

Długi pocałunek, harmonijny i nasycony niczym tęcza.  
- Muszę się przebrać - mówię. Ale zamiast to zrobić, trwam za zatrzaśniętymi drzwiami sypialni w totalnym oszołomieniu. Jakie to było piękne. Jaką moc ma ten akt nade mną. Całe życie mogłabym robić tylko to, nic więcej, nic innego... W jednym przebłysku stają przed oczami Góry Klary. Lśniące, obsypane śniegiem, nachylające się ku mnie, jakby chciały przekonać, że potrafią być ciepłe; ze złota, które tak łatwo rozgrzewa się w dłoniach, a nie z lodu, który jest dla tych dłoni wrogiem. Obiera je ze skóry.

Przeciągłe dzwonięcie domofonu. Postanawiam się nie poruszać. Mokre włosy przykleiły się do policzków, pleców. Piżama okrywajak kokon. Złe uczucie: skrępowanie; świadomość ciała, które nagle zrobiło się za duże i nieporęczne.

- Maja? Maju, muszę iść.

Dobrze.

Tylko cisza, przerywana brzęczeniem ogniów plecaka.

- Wyślij do mnie maila... jeśli chcesz - głos tuż przy drzwiach. Wokół sinawych stóp utworzyły się dwie kałuże, jakby z deszczu.

Doganiem ją na schodach. Bose nogi zostawiają w szarym kurzu ślady, jak na morskim piasku. Nigdy nie byliśmy dalej od morza, a jednak...

Morze, nieuchwytnie w swym kształcie, po prostu niezrównane<sup>2</sup>.

- Zadzwoń do ciebie ze szczytu Czo Oju.

- Będę. \_\_\_\_\_

<sup>2</sup> Marguerite Duras, Kochanek, tłum. Loda Kałuska, WAB 1993.

31

Kochałam się z Tobą, Klaro. Dwunastego. „Rozpustnie”, bo pod prysznicem. W filmach najwięksi kochankowie spotykają się pośrodku deszczu. Pamiętaj o tym, Klaro, kiedy staniesz już na szczycie Turkusowej Bogini.

Zatrzymujesz się na stopniach. Odwracasz. Patrzysz w górę. Uśmiechasz się. Wiesz wszystko.

PEPEK

Mamo. W dniu Twojego święta chciałabym powiedzieć, jak bardzo Cię nienawidzę.

Chciałabym dokładnie opowiedzieć Ci o tym uczuciu, bo przecież nienawiść jest uczuciem, prawda? Uczuciem takim samym jak miłość. Myślisz, Mamo, że ja wiem, jakim uczuciem jest miłość? Tak czy siak, nie o niej tu będziemy mówić...

Kiedy byłam młodsza - to znaczy odważniej - myślałam, że pójdę z tym problemem - „naszym” problemem, Mamusiu - do psychoanalityka. Wyobrażałam sobie nawet jego gabinet: taki wyjęty żywcem z amerykańskiego filmu. Wyobrażałam sobie, że kładę się na czarnej kozetce i mówię to samo, co teraz mówię Tobie. Psychoanalityk, zawsze brodaty mężczyzna, wysłuchuje mnie, czasem kiwnie głową w reakcji na jakieś szczególne zdanie, ale zwykle po prostu pozostaje zdystansowany. Kiedy skończę, on przyłoży chłodne ręce do mojej głowy. Takie rzeczy się zdarzają, powie. Nie pani pierwsza.... Ważne, że pani to z siebie wyrzuciła... To kompleks tego albo tamtego... Później zapisze mi jakąś mocniejszą aspirynę albo coś podobnego, żebym, wychodząc od niego taka oczyszczona, taka pusta, mogła napełnić się balastem i bym od razu nie odleciała w chmury, bo to byłoby bardzo nierozsądne i cholernie nierzeczywiste...

Niestety, w naszym mieście nie ma psychoanalityków.

To znaczy: nie ma brodatych mężczyzn z amerykańskich filmów. Jest za to przychodnia dla nerwicowców (gdzie można przyjść i się wygadać); śmierdzi w niej lizolem.

Boję się tam pokazać, bo kto tam pójdzie, od razu mianowany jest świrem. Być świrem to nic ciekawego, chyba że na amerykańskim filmie.

Książki też odpada. Babcia byłaby chyba dumna, że

o nim pomyślałam; przynajmniej dopóty, dopóki nie padłaby rażona atakiem apopleksji - po tym jak dowiedziałyby się, z czym chciałam pójść do Domu Bożego. Ze skargą? Lamentem? Ja się nie skarzę, nie lamentuję, choć tak może się wydawać... Mamo, ja po prostu nie rozumiem. Jestem głupia.

Gryzą mnie wyrzuty sumienia za „Czcij ojca swego i matkę swą”. Ja Cię chyba nie czczę, co?

Myślę, myślę, myślę. Wspominam.

Ludzie mają zdjęcia, swoje portrety z najmłodszych lat, tych pierwszych dni. Ktoś im je zrobił. Zawsze są takie same. Malutcy ludzie - wielkie nadzieje, białe kartki, bezzębne uśmiechy. Golasy! Gdzie spojrzę, widzę wypięte gładkie pupy i rozcapierzone tłuste paluszki. Ludzie patrzą do obiektywu.

Sami z siebie? Czy ktoś ich zwiódł? Zaklaskał, zaświergotał?...

Ja nie mam takiej fotografii i chyba nie jest mi z tego powodu jakoś specjalnie żal. Nie potrafiłabym się odnaleźć w tamtym niemowlęciu.

Na pewno bym nie potrafiła. Hołubię za to inną fotografię: jestem na niej ja i nogi. Śmieszne, prawda? Nóg jest pełno, wszystkie w spodniach-dzwonach i wszystkie

34

dorośle. Sięgam im niewiele ponad kolana. Mam dużą głowę pełną loków. I boję się. Z tego przerażenia ssę kciuk. Jestem sama w lesie obcych nóg. Kto mnie uratuje? Kto mnie stąd zabierze? Czy ten ktoś, kto specjalnie mnie zgubił, żeby zrobić to idiotyczne, podłe, śmieszne zdjęcie? Potrafię teraz obudzić się w środku nocy z krzykiem na ustach, bo śni mi się, że jestem sama w lesie.

Mamo, powiedziałaś mi, że nigdy się przede mną nie chowałaś. Nie ukrywałaś za drzewem w parku, by obserwować, jak zareaguję. Nie miałaś ochoty? Nie chciałaś zobaczyć, jaka jestem zaradna?



Albo usłyszeć zduszonego krzyku „ma-ma!” i poczuć się kochaną?

Słyszałaś go. Często się gubiłam, jak parasolka albo długopis... Kiedy byłam malutka, cały świat był szary, po ulicach jeździły wołgi („Nie zbliżaj się do tych samochodów, bo cię potwór ukradnie!”) i wszyscy pracowali od świtu do nocy w wielkich fabrykach; tym fabrykom śmierdziało z kominów, a wszystkie kobiety nosiły takie same płaszcze. To był chyba import z Turcji - skórzane płaszcze z paskiem w talii, ze stójką, długie do kostek. Niekiedy brązowe, najczęściej czarne. Ty miałaś czarny.

Wychodziłyśmy na spacer -ja z misiem pod pachą, ty w swoim czarnym płaszczu. Najczęściej spacerowałyśmy wokół fabryki czekoladek. Ta fabryka nie śmierdziała. Ona roztaczała boski zapach. Robotnikom, którzy tam pracowali, wpadłaś w oko, bo byłaś ładna. Oni krzyczeli, że mają cukierki dla dziecka, a czekolada była na kartki. Ty podchodziłaś. Podnosiłaś mnie nad bramę, tak żebym mogła odbierać słodczyce spomiędzy sztachet. Jeśli jakiś robotnik miał szczęście, to zdążył Cię pogłaskać po opalonej dłoni, którą mnie unosiłaś. Byłam lekka.

35

Ja nie miałam szczęścia, nie dotykałam Twoich palców, bo nie lubiłaś tego. Szłam więc obok i patrzyłam na rąbek czarnego płaszcza, żeby się nie zgubić. Niekiedy jednak coś - kot albo samochód (czarna wołga) - odwracało moją uwagę. W panice szukałam więc „mojego” rąbka płaszcza i szłam za nim jak zaczarowane dzieci za Szczurołapem... I nagle orientowałam się, że Ty, Mamo, to wcale nie jesteś Ty. Że przyczepiłam się do obcej kobiety w takim samym płaszczu. I szukałyśmy Cię w panice, i obcy ludzie (kiedyś nawet jakiś facet z wołgi) wspierali nas w tych poszukiwaniach. Nas - bo ty wciąż zapominałaś, że przy Twojej nodze powinna iść mała dziewczynka. Kupowałaś mi „ciepłe lody”. W życiu nie pozwoliłabyś

kupić mi takich prawdziwych, z automatu. Mówiłaś, że są nie na moje gardło.

Dzieci się ze mnie śmiały, kiedy lizałam „ciepłe lody”, i miały rację, bo ta cukiernicza ulepa nawet mi nie smakowała.

Kupowało się oczywiście w cukierni. Stały daleko na półce, w metalowych brytfankach, i z tej odległości nawet nie można było ich odróżnić od prawdziwych - chyba tylko po tym, że się nie topiły... Ta część, która wystawała ponad wafelek, przypominała skorupkę ślimaka.

Z bliska było znacznie gorzej. Wierzch zasychał w skorupę podobną do szronu na kałużach. Żeby dostać się do bardziej zjadliwego środka, trzeba było przebić się przez coś takiego jak kozuch na mleku. Fuj!

Wyrzucałam te niedojedzone lody do łódzkiego rynsztoka, a Ty, Mamo, mówiłaś wtedy, że od razu wiedziałaś, że lody nie będą mi smakowały.

36

Babcia, Twoja matka (staramy się zapomnieć nie o tym, że umarła, ale że umarła na alzheimera) postanowiła mnie ochrzcić. Ty nie byłaś przekonana albo całkowicie to lekceważyłaś. Do czasu jednak, bo w końcu się zламаłaś...

Babka raz na zawsze postanowiła zapomnieć o tym, przez co trafiła do Auschwitz; jej młodszy brat za to samo musiał opuścić kraj w 1968. Krzyżyk na pomarszczonej szyi miał jej pomóc w zapominaniu... Ty wolałaś wstąpić do partii, ale Cię nie przyjęli, więc próbowałaś wszystko mieć w nosie.

Do chrztu poszłam na własnych nogach - byłam wciąż małą dziewczynką, ale już dużo za dużą, by któryś z chrzestnych zdecydował się mnie dźwigać.

Szłam główną nawą, a droga do Jezusa wydała się tak długa, że aż brakowało mi tchu. Ktoś mnie o coś pytał, a ja odpowiadałam. I miałam mokre czoło.

Była zima.

Przyszło parę osób: jakieś obce twarze i każda z tych twarzy przyniosła mi misia. Czułam żal - nie mogłam być wtedy wcale taka ciężka, bo jeden z misiów przewyższał mnie wzrostem o głowę. A żeby go gdzieś przemieścić, musiałam pluszaka-giganta ciągnąć za łapę. Spałam z nim, ale nie tuliłam się, tylko opierałam twarz na jego misiowatej piersi, jakby to był tors mojego męża. Tak dokładnie wtedy myślałam, a miałam lat pięć i pół. Nikt się nigdy nie dowiedział. Do teraz. Teraz Ty wiesz. Nie mam męża, żeby mu o tym powiedzieć w żartach, więc muszę Tobie, Mamo, muszę powiedzieć Tobie tak cholernie na serio. Pomyślisz: mała zdzira.

Twarze gadały i jadły. Tyje przeprosiłaś i wraz z moimi chrzestnymi pojechałaś ze mną do zamówionego fotografa. Na zdjęciach, które wtedy powstały, nie mam już kręconych włosów. Tylko długie i rude włosy wnuczki europejskiej Żydówki. Białą, wełnianą sukienkę i - ha, ha - białą, szydełkowaną myckę na tych włosach. A na piersi złoty medalik z Najświętszą Marią Panną. Zastawiłam go niedawno w lombardzie i już nie odebrałam... Na jednej z fotografii siedzę na kolanach chrzestnego (widziałam go w tamten dzień po raz pierwszy i ostatni). Do kolejnego zdjęcia posadzono mnie na kozuchu. Twoim. Tureckim. Fotograf chciał mnie ustawić na zimnym, szarym schodku - myślę, że wyglądałabym jak zepsuta lalka. Ty też to zauważyłaś. Dotąd nudziłaś się tam i wciąż wychodziłaś na zewnątrz na papierosa, a tu nagle wracasz i widzisz, co fotograf chce zrobić. Protestujesz więc, zdejmujesz swój haftowany kozuch, kładziesz go, a potem delikatnie sadzasz mnie na tym wszystkim. „Tak będzie ci wygodniej”, mówisz.

Jakiś rok temu, albo może dwa, porozwieszali w naszym sentymentalnym i gorzkim mieście (które tak bardzo podoba się ekspremierowi) billboardy o wspólnym haśle „PEPEK”. Wisiały na kamienicach i odrapanych fabrycznych halach. Bynajmniej niejeden przy drugim -

w sumie było ich niewiele, ale ja odwiedziłam prawie wszystkie. One były sztuką.

Moim życiem.

Na plakacie widniał kawałek dziewczyny (myślę, że to była dziewczyna), która rozchyłała spodnie, obnażając brzuch. PATRZCIE! PEPEK!

Obok biegł napis: „PEPEK - BLIZNA PO MATCE”.

Mamo, czy masz jakieś blizny po mnie?

Dziewięć miesięcy. Nie wstydzisz się ich? Ja tak. Nie wspominasz z zażenowaniem? Ja tak. Najważniejsze jest 38

jednak to, że ja wcale nie mogę uwierzyć w tę historię.

W historię, gdzie jestem rybką w Twoim brzuchu. Trochę bezmyślnie ssę przezroczysty kciuk. Robię fikołki, a jednak nie duszę się pępowiną. Może nawet się uśmiecham i mam taki mały, słodki nos. Wyobrażam sobie, jak głaszczesz się po napiętym niczym bęben brzuchu i coś tam szepczesz. Na przykład: „Będzie ci wygodnie, córeczko”. Słucham też muzyki: chodzisz wówczas do filharmonii, a może jeszcze zdążyłyśmy posłuchać trochę piosenek z Sopotu?

Rodzę się pod koniec festiwalu, zdecydowanie za wcześnie. Mówią Ci, że mogę nie przeżyć - zbyt mała rybka na tak wielki ocean miejsc i wydarzeń. Ty się tak łatwo godzisz z tą możliwością... Dlaczego nie walczysz? Nieważne. Ja walczę za nas dwie, w przezroczystym inkubatorze, z wielką igłą w kruchym ramiączku. Wiesz, Mamo, że ja do dzisiaj boję się igieł? Boję się bólu.

Podejrzałam Cię kiedyś w kąpieli: masz gładki brzuch, zupełnie bez rozstępów.

Cisza.

Słyszysz?

Płacz małego dziecka. Naprawdę...

Dobiega z dołu. Rury ciepłownicze przenoszą go po całym bloku. Na ten płacz podnoszę głowę. Odrywam się

od zajęć i słucham. Mój mięsień serca przyspiesza z niepokojem.

To płacz bękarta, syna małej dziwki.

W sumie to ona nie jest małą dziewczynką, tylko ja ją tak nazywam.

Jest pechowym dzieckiem: lat osiemnaście i pół plus półtora roku własnego syna.

TO

Monika (ta mała matka ma na imię tak samo jak ja) nosiła najkrótsze sukienki, w jakich można było się pokazać na ulicy; zawsze w kwiaty. Nie goliła nóg, bo matka mówiła, że nie wolno, że jeszcze nie czas, że jak by to wyglądało. Monika obnosiła więc podniecające, brunatne nóżki sarenki. Ktoś zapragnął tych nóg... Ktoś, lat dwadzieścia i pół. Penis. Monika była cała w trawie. Kwiaty z jej sukienki zsunęły się na parkową łąkę -jedyne prawdziwe pośród chwastów i mleczy.

Ziemia zatrzęsała się pod ich plecami i nastąpił błysk.

Hemingway zamiast Reymonta.

Później był płacz.

Rury ciepłownicze przenoszą go po całym bloku...

Widziałam dziś rano przyjaciela. Jechał w tramwaju i nie zauważył mnie. Ja szłam z chlebem pod pachą i mlekiem, które pewnie wyleję, bo go nie lubię, ale które kupuję, bo i Ty zawsze to robiłaś. Ten przyjaciel - zresztą gej - pyta mnie przy każdej okazji: „Dlaczego nie masz dziecka, czy nie marzysz o nieśmiertelności?”. Odpowiadam mu, że to żadna nieśmiertelność. Gdy ty nie żyjesz, przestaje cię obchodzić, ilu żyje twoich wnuków. Wtedy przyjaciel odpowiada z powagą, że jestem egoistką...

Czy nic po mnie nie zostanie, tylko popiół i dwutlenek węgla? Czyżby ślepa uliczka ewolucji?

Czy ja jestem Twoją nieśmiertelnością, Mamo?

A ja? Gdzie jest moja nieśmiertelność?

Ten niemowlęcy płacz kojarzy mi się z miauczeniem. I od razu przed oczami staje mi Szara - kotka, która miauczała, kiedy ją bolało i kiedy miała ruję. Ściągnęłam ją z wierzby, która dziwnym trafem wyrosła pośród lumpenproletariackich czwartaków na osiedlu Bałuty. Wierzba moczyła swe łodygi w zmętniałej od mydlin wodzie z rynsztokowych ścieków. Ścieki śmierdziały tak, że trzeba było zaciskać nos, gdy przechodziło się obok. Na wierzbie coś miauknęło, więc zignorowałam smród i wspięłam się po parszającą, drapiącą burą kulkę. W pierwszej chwili myślałam, że kulka jest chłopczykiem - tak walczyła! - ale Ty, Mamo, powiedziałaś: „To kocia księżniczka”. I że skoro jest księżniczką, może zostać. Podarowałaś jej nawet foremkę do robienia keksów, która odtąd służyła za kuwetę, i stary, wiklinowy kosz do spania. Szara sypiała z nosem wtulonym w moją szyję. Była tak mała, że mieściła się w dziecięcej dłoni. Nosłam ją często. Kiedyś próbowałam jej wycisnąć sutek, bo myślałam, że to pryszcz. Dorastałyśmy razem. Na sutku zrobił jej się guz. Weterynarz powiedział, że to od zastrzyków, które jej dawałyśmy, by nie krzyczała w rui. I umarła - nad ranem - o czwartej godzinie. Zbłękitniały jej uszy. „No, oddychaj, no, żyj!” - krzyczałaś, Mamo, i próbowałaś wdmuchać jej powietrze do pyszczka... Ale ona wydała ostatnie miauknięcie i tyle. Bardzo smutna historia. Żałuję, że ściągnęłam Szarą z wierzby. Że nie pozwalałyśmy nikomu się do niej zbliżyć. Że zabroniłyśmy mieć dzieci. Umarła, gdy miała czterdzieści lat - czterdzieści, gdyby przeliczyć lata kocie na ludzkie. Sąsiadka ma osiemnaście, a jej syn skończył rok. Niedługo przestanie tak ciągle płakać. Wszystko się już ułożyło. Ale najpierw był Wielki Smród. Cała klatka schodowa w naszym bloku śmierdziała martwą rybą. Miłośnik sarenek wylał zgniłe resztki śledzi (utopione dodatkowo w Bóg wie jakiej brei) na drzwi wej-

ściowe mieszkania Moniki. Widziałam, jak pogwizdując, odchodzi z pustym wiadrem, które skrzypiało mu w rękach. Był to dla niego akt ostatecznej zemsty. Monika postanowiła się z nim nie wiązać - poza odbieraniem alimentów rzecz jasna. Urodzić dziecko rodzicom. Rodzice pili piwo w tym samym parku i w tej samej chwili, kiedy żdźbła trawy znalazły drogę do gołych pośladków córki. Co mieli robić innego? Są na bezrobotnym od dziesięciu lat. Powiedzieli Monice, że ślubu nie będzie, bo się nie opłaca. Gdy jest ślub, to nie ma alimentów ani „opieki społecznej”, ani dopłat do mieszkania, ani nic. Monika płakała. „Tak szybko się nie ożeni, syn go będzie przyciągał jak magnes” - pocieszali...

Kochanek jednak ożenił się z koleżanką z podwórka. Ale na syna Moniki płaci, czasem nawet przyjedzie - smród śledzi już wywietrzał. „Znajdź sobie kogoś”, poradził. Monika kupiła kilka nowych kiecek i purpurową pomadkę. Czeka. Nauczyła się. Potrafi też śpiewać jedną kołysankę o kotach. „Aaa, kotki dwa”. Wiem, bo śpiew nie się po rurach jak płacz. Czasem słuchamy jej oboje, ja i synek, zawsze o dziewiątej wieczorem. Ani wcześniej, ani później. Potem chłopiec idzie spać, Monika włącza TVN, a ja piszę do Ciebie.

A propos, Mamusiu, jak to było z moim ojcem?

Powiedziałaś: „Dziecko umarło”. Koniec. Słowo „koniec” było niepotrzebne, zawisło w głuchej przestrzeni.

On, mój ojciec, wcześniej zdążył odłożyć słuchawkę...

Zadzwońska z żółtego aparatu, który wisiał w portierni szpitala i połykał monety z rybakiem. Miałaś na nogach rozciągnięte kapcie przywiezione z Zakopanego. Poczęłam się, kiedy głowy mieliście odwrócone w stronę Giewontu.

Portier spokojnie oglądał relację z Sopotu, a Ty bardziej niż czymkolwiek innym byłaś przerażona granatowym kolorem swego sflaczałego, opuszczonego brzucha.

Mnie tymczasem pielęgniarka opukiwała żyłę na ramieniu, żeby się dobrze wkłuć. Twoja matka - kiedy jej powiedziałaś, co zrobiłaś - była zadowolona. „Nie potrzebujemy go”, odparła. Potem milczałyście. Dopóki babka nie dostała kręćka i nie zaczęła wygadywać bzdur. I tylko Szara znosiła bez strachu te szaleństwa. Siadała na brzuchu i dawała się głaskać tymi rękami, które miały osiemdziesiąt lat i drżały. Mózg jednak przekonany był, że jest młody, i wściekał się, że nikt mu nie wierzy, kiedy mówił przez wysuszone usta: „Ja mam dopiero trzydzieści lat!”. I powiedział, że między Tobą, Mamo, a tatą to nie była żadna miłość, tylko chamski seks. A tata miał gdzie indziej żonę i dwie córeczki, a ty mu powiedziałaś, że ja umarłam. Umarłam w dwie godziny po urodzeniu. I stałam się duchem.

„Nie ma już nic, co by mi przypominało matkę” - powiedziałaś, kiedy pochowaliśmy Szarą pod drzewem w parku.

Wiesz, Mamo, z mężczyznami nie jest ostatnio łatwo. Zostały tylko misie... Jednak misie są teraz dużo mniejsze. Nie jestem już taka młoda, ale też nie stara. „W wieku umieralnym” - jak określiła ten czas pewna hinduska pisarka. Ha, cali Hindusi i ci ich bogowie z trąbami słońca i błękitnymi twarzami... Tamto zdanie utkwiło mi głęboko jak zadra i zaczęłam się bać. Co ze mną będzie? Wiem, wiem - kobiety co pokolenie narzekają, że mężczyźni nie chcą się żenić; ale teraz naprawdę nie chcą. I nie wierzę, że nie są samotni. Wszyscy jesteśmy, bo mamy umysły pozamykane w kościanych skrzynkach. I będziemy - nie da się połączyć umysłu z umysłem w jedno. Muszą wystarczyć ciała... Pamiętam, jak w liceum rówieśnice zaczęły nosić cienkie medaliki w kształcie przepołowionego serca. Ktoś inny - on - nosił drugą połowę, z drugim fragmentem napisu. To był symbol. Na medalikach były wygrawerowane słowa z Pisma: „I jednym ciałem się stali”. Kiedy wi-



działam te zawieszki na rzemykach, łańcuszkach, aksamitkach, to musiałam przypominać sobie, że to święte słowa. Rumieniłam się. One nie kojarzyły mi się nawet z historią o dwóch odnalezionych połówkach jednej pomarańczy, tylko z kopulacją. Ko-pu-la-cją, właśnie tak. Nie nosiłam w liceum nic takiego. Teraz seks jest w porządku, jeśli już jest. Tylko nie lubię się całować. Szkoda, że nazywałaś mnie „małą dziwką”, bo to gdzieś we mnie pozostało. Kopulacja. Uwierzysz, że ostatnio wdałam się w romans z własnym asystentem? Chłopak młodszy ode mnie o dobre pięć lat. Nie byłam ani jego pierwszą, ani ostatnią. Zwolnili go już - a to był taki ładny chłopiec. Spodobałby Ci się: studiuje prawo i wyczynowo jeździ na nartach. Zimą. Wiosną zajmuje się posuwaniem starych panien. Czy to, że okrucieństwo wobec siebie samej przychodzi mi łatwiej niż wobec innych, to też zasługa Twojego wychowania? Ciekawajestem.

Maszka jest szczęśliwa. Jest szczęśliwa nawet wtedy, gdy Lynn się nad nią wytrząsa i Maszka płacze. Maszka urodziła się w Moskwie, przyjechała do Polski na studia i została. Nigdy nie wróci. Nie do końca rozumiem jej tępą nienawiść do miejsca, w którym się urodziła. Moskwa kojarzy mi się z kolorową wystawą Estee Laudera otwartą na placu Czerwonym (takie zdjęcie widziałam w „Polityce”), a ostatnio jeszcze z duetem dwóch nastolatków o czupurnych spojrzeniach i jasnych oczach, które śpiewają o swojej miłości.

Maszka do Moskwy nie wróci: kupiła tutaj mieszkanie. Opowiada mi (kiedy tylko Lynn nie patrzy) o układaniu glazury i o zepsutej termie. Nasze biurka stoją obok siebie. Biurko cudzoziemskiej nadzorczyńi króluje naprzeciwko. Lynn jest sierotą, a niedawno rozwiodła się z Bułgarem, który pracuje w innym oddziale firmy - bułgarskim, jak sądzę. Pojechali na Kubę, by scementować swój związek, ale sama zaprawa nie wystarczyła. Za dużo różnic. Lynn

chodzi ostatnio wkurzona, bo poszła plotka, że kierownictwo chce zlikwidować polski oddział. Może to jednak nieprawda? Maszce nie robi to różnicy, a mnie tak. Myślę, że najlepiej jest kupować kosmetyki Estee Laudera - nieważne, czy tu, czy tam... Parszywa ze mnie materialistka, prawda, Mamo? Łudzę się, że jestem elegancko cyniczna, ale to nieprawda. Jestem sentymentalna jak rosyjski samowar. Na ubrania, które w Polsce szyje moja angielska firma, nigdy by mnie nie było stać. Nie jestem w tym ubóstwie odosobniona. Opanowuje mnie dziwny żal, że nigdy nie ujrzę na wieszakach w polskich butikach spodni i bluzek, żakietów i sukieneczek, których poniekąd jestem połączoną. Maszka mówi, że wariuję. Lynn, z czerwonym od płaczu nosem, każe mi się zabierać do pracy. Aby stać się bardziej ludzkie, Mamo, kupiłyśmy we trzy chomika. Jego akwarium każdego tygodnia stoi na innym biurku.

W niedzielę chodzę po parku i zaglądam do wózków.

Spacerujące matki pozwalają mi na to. Myślę, że lubią się chwalić. Są dumne.

Albo sądzą, że jestem w ciąży - szczególnie że się głęboko uśmiecham; a jeśli nawet mam gorszy dzień i skrzywię się w przerażeniu, to to też tłumaczą sobie ciążą.

Widzę coraz więcej młodych matek - od tych z dziećmi zawieszonymi we śnie, zupełnie malutkimi, porcelanowo białymi i jakby pozbawionymi kręgosłupa, po rodzicielki dwulatków, poczętych w roku 2000. Wiele z nich zdecydowało się wtedy na macierzyństwo. Ale z tamtym macierzyństwem szła olbrzymia fala optymizmu i nadziei, inaczej niż teraz... Obecnie dziecko to przetrwanie, ostatnia deska ratunku dla godności i zdrowych zmysłów. Przyjaciół twierdzi, że dzieci rodzi się teraz tak, jak w stanie wojennym - byle przetrwać marazm, skoro nie ma nic innego do roboty.

Zdarza się, że w niedzielnym parku odpieram harde spojrzenie: „Po co tu przyszłaś, bezdzietna kobieto? My

jestemy matkami, ty nie masz o niczym pojęcia. Przy-  
najmniej dopóki sama nie zostaniesz matką..."

Boję się tego. Boję się bólu i igieł w ramieniu. Samot-  
nego gotowania kaszek i odnajdywania pierwszych żyła-  
ków w czasie wieczornych kąpieli. Najbardziej jednak  
przeraża mnie to, że jeśli będę miała dziecko, zachowam  
się wobec niego tak, jak Ty wobec mnie. Jestem słaba. Je-  
stem zła. Boję się, że urodzę córkę i ją znienawidzę. Już  
znienawidziłam, chociaż ona nie istnieje. Jak można nie-  
nawidzić kogoś, kogo nie ma?

Jest jeszcze kreska na futrynie. Narysowana zieloną  
kredką świecową, albo niebieską, także żółtą... Jest wiele  
kresiek. Kiedy ty wróciłaś do pracy, a z jakiegoś powodu  
(bałaś się, bo chyba Cię było stać, pani inspektor?) nie od-  
dałaś mnie do przedszkola, zaczęłaś mnie zostawiać  
u swojej matki. Babcia lubiła na mnie patrzeć, widzieć, jak  
rosnę, zamieniam się w człowieka. W zasadzie byłaby roz-  
czarowana, widząc mnie teraz taką drobną, a nie dorodną  
niczym gałąź północnego dębu. Przeznaczenia się nie  
oszuka. Jestem mizernym drzewem figowym...

Babka kazała mi stawać przy framudze. Mówiła: „Wy-  
prostuj się, zmierzę cię, zobaczymy, ile urosłaś od po-  
przedniego razu". Zdarzało mi się stawać na palcach, ale  
od razu dostrzegała, że oszukuję. A potem robiła tłustą  
kreskę na framudze, tuż ponad wypukłością mojej głowy.  
„Patrz!"

Nie urosłam ani jednego centymetra, ani kropeczki.  
Nie urosłam i wciąż się bałam diabła za ścianą. Zdarzało  
się, że zostawiałaś mnie u babci na noc. Potrafiłam wpro-  
sić jej się wtedy do łóżka. Potrafiłam poprosić: „Daj mi  
rękę, bo nie usnę". Zapadałyśmy obie w sen, ściskając  
swoje palce: takie młode i takie stare. Tylko wtedy nie  
bałam się ani diabła zza ściany, ani Ciebie, Mamo. Byłaś  
tak blisko, a jednocześnie tak daleko.

Rzecz możliwa we śnie.

Babcia powiedziała, że kiedy byłaś mała, najbardziej na całym świecie kochałaś białe konie. „Wszystkie siwki są moje”, mawiałaś. Wszystkie, które Ty i ja w dzieciństwie widywałyśmy na ulicach. Na przykład te z brudnymi nogami, które przywoziły babce węgiel. Dopiero kiedy miałam pięć lat, zamieniono zaprzęgnięte do wozu siwki na ciężarówkę. Wcześniej małe dziewczynki wyczekiwały pory, kiedy liście spadały z drzew i robiło się chłodniej...

47

Czekały i nasłuchiwały miarowego stukotu końskich kopyt na kocich łbach. Obie trzymały kciuki, a że ścisnęły je wyjątkowo mocno, konie okazywały się być białe. Ponoć węglarz pozwolił Ci kiedyś na jednym z nich posiedzieć i poczułaś dotyk siwej sierści. Ja znałam tylko poślizg plastiku, z którego odlane były koniki na karuzeli w luna-parku. I choć nie słychać było kopyt, tylko kiczowatą muzykę, i tak wciąż chciałam galopować na tych plastikowych siwkach, a raz, Mamo, przejechałaś się ze mną w odkrytej, plastikowej karocy, którą ciągnęły. Kiedyś też razem widziałyśmy podobną karocę, tyle że czarną, zdobioną trupimi czaszkami. To był prawdziwy, stary karawan, a w jego wnętrzu telepała się na boki trumna. Kiedyś karawan był obowiązkowy - tego chciała katolicka liturgia, ale któryś z papieży uprościł ją i zniósł dystans między wiernymi a ołtarzem. Odtąd umarli podróżują śmierdzącymi benzyną nysami. Tamten karawan był jednak szczególny, bo prowadziły go białe konie. Ty powiedziałaś, że to nawet lepiej, bo kości są białe, i jeszcze: że biel to kolor, który odbija światło, a nie pochłaniaje jak czerń, przez co bieli nigdy nie daje się rozgrzać... Mówiłaś, że na Wschodzie biel to kolor śmierci, a nawet w Europie - oficjalne szaty żałobne królowych francuskich też były przecież białe. Ja zapytałam, czy te królowe wszystkie były ze Wschodu i czy to taki francuski zwyczaj jak jedzenie żab. Ty powiedziałaś, że nie. Więc ja spytałam, jaki kolor jest

zły u Żydów, i dodałam, że tam, gdzie mieszkają, jest przecież Bliski Wschód; ale Ty nie chciałaś o tym rozmawiać. Karawan przejechał obok nas, a ty się przeżegnałaś.

Babcia opowiadała mi, że gdy byłaś mała, miałaś pinczerka. Pies ten nie chciał załatwiać się na spacerze, tylko wracał do domu i natychmiast sikał pod stołem. Pewnego

48  
dnia, kiedy byłaś w szkole, Twoja mama wydała pinczera węglarzowi, a kiedy wróciłaś, powiedziała Ci, że sam uciekł. I dokładnie następnego dnia węglarz pozwolił Ci usiąść na koniu, bo byłaś smutna...

On dotyka moich pleców, dotyka, pieszcząc niespiesznie. Jest stary, ma posiwiałe włosy i nigdzie mu się nie śpieszy. On smakuje. Jestem dla niego Darem. Zjeżdża palcami ze stożka łopatki w dół i wtedy znajduje je - rysy na porcelanie. Jest ich pięć albo sześć, grubych na pół centymetra każda, mięsistych, choć regularnych, jakby zrobiła je maszyna, a nie drobna kobieta. „Rany”, cofa dłoń. „Ktoś cię biczował?”. Potem, choć protestuję ze wstydu, zapala światło i zdejmuje mi koszulę z pleców. Blizny są tam, gdzie je wyczuł. Nie wydawało mu się. Blizny od skórzanego, męskiego paska z ledwo co wygarbowanej skóry, obszywanej wielką sprzączką. W oczach dziecka -jeszcze większą... Zastanawiam się, skąd, Mamo, wzięłaś ten pasek, skoro w naszym domu nie było żadnego mężczyzny?

Wazonik z Cepelii - towar eksportowy. Niebieskie kwiaty na białym tle. Pewnie dostałaś go na któreś urodziny, lubisz go, ale nie pamiętasz, od kogo ten prezent. I za ten stłuczony wazonik próbujesz mnie zabić i za całą resztę też. Za wszystko inne.

Ciociny wazonik, który prowadzi do męskiego paska. Próbuję sobie wytłumaczyć, że wcale nie biłaś mnie tak mocno, ja tylko byłam mocno opalona i wysuszona przez słońce po wakacjach. Akurat rosłam jak na drożdżach

i skórę miałam napiętą na wyrośniętych plecach, do granic możliwości. Nie trzymałaś paska za sprzączkę... I byłaś samą furią. Nienawiścią. Rozczarowaniem życiem i frustracją. I moje plecy Ci pomogły. Wszystko to, Mamo, uleciało z Ciebie - inaczej byś umarła, a ja byłabym sierotą. Zaraz potem dopadło mnie przeziębienie, dygotałam i pociałam się - nie mogłam pójść do szkoły. Zabrałaś mnie do lekarza, do poradni dla dzieci chorych. Pani pediatra kazała mi zdjąć górę ubrania i odwrócić się, by mogła osłuchać płuca... Powiedziała, że powiadomi milicję, że jeszcze nigdy takich pleców nie widziała u dziecka. Wierzyłam jej, bo jeszcze była młoda i wszystkie prawie obrazy życia dopiero na nią czekały. Ty, Mamo, zrobiłaś się czerwona na twarzy i powiedziałaś, że wszystkie te zarzuty są śmieszne, a potem dodałaś, że koszulkę, którą zdjęłam, kupiłaś w Peweksie. Doktor zaczęła mnie o coś pytać, ale nie był to zwykły lekarski wywiad. Odpowiadałam: „Nie” i „Ależ skąd”. Wyprowadziłaś mnie z gabinetu, nie zważając na to, że tamta coś za nami krzyczy. Nie rozmawiałyśmy o tamtym przeziębieniu. Dałaś mi polopirynę. Kiedyś chciałam Ci wszystko przypomnieć, ale powiedziałaś, że wstrętnie wymyślam, konfabuluję; tak jednak wymachiwałam rękami, jakbyś sprzed oczu odganiała świętą zmoreę. Z nim nie kochałam się tamtej nocy. Nie mógł.

Opowiem Ci, co mi się ostatnio przyśniło...

Wiesz, w tym śnie byłam znowu malutka. Taka jeszcze niepewnie trzymająca się na nogach. Puch na głowie zamiast włosów. Schowany pod czapeczką. Ja jako pisklę. I czułam się tak lekko i radośnie, że to musiał być haj albo nirwana. Pewnie jedno i drugie naraz. Jakieś sroki skrzekliwie się nawoływały, aja stałam na podwórku starej kamienicy babci i widziałam huśtawkę, która jednostajnie wznosiła się i opadała: góra - dół, góra - dół. I wiedziałam,

50

że to ja przed chwilą zesłam z tej huśtawki; to jednak

działo się w innym wymiarze... Widziałam topole: w ich gałęziach kryły się inne sroki - te, co chowały w dziobach ptasie skarby. Widziałam te błyskotki lśniące pomiędzy gałęziami. Częściej jednak patrzyłam w dół na ogromne pajęczyny. Nie musiałam się do nich za bardzo schylać. Byłam w tych pajęczynach i w nikłym wietrze, który nimi poruszał. Pod stopami miałam dywan z mleczy. A potem - w tym śnie - poszłam do „babcinego” parku. Parku, który w rzeczywistości nazywa się „imienia księcia Józefa Poniatowskiego”. Tam dopiero pełno było mleczy: część z nich zdążyła posiwieć i przepoczwarzyć się w dmuchawce. Tych nie dotykałam, bałam się skrzywdzić. Bałam się, że byle ruch wystarczy, by bezpowrotnie straciły swoje nasiona. W parku byłaś ze mną i Ty, i tatuś. Czułam Wasze palce splecione z moimi. I te nasze trzydzieści palców karmiło później dostojną trójcę łabędzi pływających po zarośniętym stawie... Bóg Ojciec, Jezus Chrystus, Duch Święty. Wiem, że Duch Święty to nie łabędź, tylko gołąb - tak jest wszędzie, z wyjątkiem mojego snu.

To było jak objawienie.

Poszliśmy przed muszlę koncertową i ktoś tam grał, ale akurat tego fragmentu nie pamiętam. Zapomniałam, jakby w ogóle nie istniał, a przecież wiem, że był - że musiał być. Zaprowadziliście mnie do mauzoleum żołnierzy radzieckich... Wtedy zrozumiałam, że przyśnił mi się park z mojego dzieciństwa. Dziś nie majuż tych rzeźb z karabinami i kamiennych bloków stłoczonych w jeden labirynt, w którym można zgubić psa albo dziecko.

Obserwowaliście mnie uważnie.

W tamtym wymiarze wciąż obserwujecie: biegam po czarnych marmurach i śmieję się, bo jestem ŻYCIEM! Zdziwisz się pewnie, Mamo, kiedy się dowiesz, że na nocnym stoliku trzymam zdjęcie Marilyn Monroe.

Znasz je na pewno, wszyscy je znają: Marilyn stoi na wywietrzniku metra, a podmuch unosi jej białą sukienkę.

Mówią o tej fotografii, że pochodzi ze Słomianego wdowca, ale to nieprawda. Nie widać w filmie białych majtek gwiazdy, cenzura obyczajowa nigdy by tego nie puściła. Tak więc to nie fotos, tylko zwykłe zdjęcie... Wszyscy się mylą, ja dowiedziałam się całkiem niedawno, ale przecież to Cię akurat nie zdziwi. Nigdy nie interesowałam się kinem; nie jestem pewna, czy jakkolwiek film z panną Monroe widziałam w całości. Może tylko Pokochajmy się - ale zrobiłam to dla pewnej piosenki (My Heart Belongs to Daddy), więc się nie liczy. A może jednak? Liczy się, Mamo? Pewnie zaczniesz się denerwować, jeśli nie wyjaśnię Ci, dlaczego dzielę snyz amerykańską gwiazdą filmową, która umarła przed moim urodzeniem?

O ile wcześniej już całkiem porządnie się nie zdenerwowałaś...

No więc, nawiązując do fotosu:

„Nie pamiętam widoku ojca. Nie wiem, jak wyglądał, mówiono mi, że był wysoki, szczupły, przystojny, z wąsami. Nigdy się do mnie nie odezwał. Mówiono mi, że zginął w wypadku samochodowym, kiedy miałam sześć miesięcy. Moim ojcem jest Abraham Lincoln - to znaczy myślę o Lincolnie jak o swoim ojcu. Był mądry, miły i dobry. Lincoln to mój ideał, kocham go" - powiedziała M.M. Jak widzisz, można też trzymać zdjęcie prezydenta.

Mówili o niej „bogini", ale czy wiesz, że chciała ją zabić własna matka?

„Pamiętam przebudzenie z drzemki i walkę o życie. Coś przyciśnięto mi do twarzy. Mogła to być poduszka. Walczyłam z całych sił".

To coś okropnego, coś znacznie gorszego od aborcji.

Ajednak - wiesz, co myślę, Mamo? Że kiedy dziewczynka, która została gwiazdą, zasypiała już po raz ostatni, myślała o swojej matce. I robiła to z miłością.



Mamo, w dniu Twojego święta chcę powiedzieć, jak bardzo Cię kocham.

\*\*\*

Marilyn Monroe:

„Kodeks produkcji filmowej nie pozwala pokazywać pępka. Myślę, że nawet pomarańcze nie mają takiego prawa”.

MAMA

„Jest!”, usłyszałam głos Teda. Było po wszystkim. Poczulałam, jak w jednej chwili znika wszelki ciężar. Czułam się lekka, jakbym zaraz miała unieść się w powietrze. Byłam zupełnie przytomna.

Uniosłam głowę i zobaczyłam mojego pierwszego syna, Nicholasa Farrara Hughesa. Niebieski i lśniący, leżał na łóżku tuż przy mnie w wilgotnej pościeli.

Doktor Webb wsunął we mnie palec i kazał mi zakaszleć. Łóżysko wypadło do pyreksowej misy, która napełniła się purpurową krwią. To wszystko. Mieliśmy syna”<sup>1</sup>.

Lusterko jest stare i kiczowate, ale niewątpliwie ma duszę. A jeśli nie, to znaczy, że oddało ją światu. Wypuściło duszyczkę do rzeczywistości.

Dosztukowana drewniana rączka jest wygładzona palcami mokrymi od potu.

Czarno-białe zdjęcie siwego konia, przylepione na odwrocie, poplamione dawno wyschniętą herbatą. Samo lustro lśni wypucowane oddechem i chusteczką. Przegląda się w nim moja twarz: opuchnięte oczy, naczynka krwionośne, które z wysiłku popękały na nosie, czole, obu policzkach.

<sup>1</sup> Erica Wagner, Sylwia Plath i Ted Hughes, tłum. Tomasz Kunz, Wydawnictwo

Literackie, Kraków 2004.

Jestem bardziej niż kiedykolwiek. Wróciłam z długiej podróży. I jestem szczęśliwa.

(wcześniej)

Jak to zwykle, łazienkowe lustro było zaparowane, po kurkach od wody spływała uroniona pianka do golenia - mąż śpieszył się do pracy.

Tamtego dnia wydawało mi się, że pod mgłą coś się poruszyło i nie było to tylko moje odbicie.

Otwartą dłonią przetarłam lustro - gest podróżnika, który w pociągu trze zaparowane szyby, aby zobaczyć nieznaną, a pożądaną krajobraz. Zobaczyłam Dziecko.

Na dnie porcelanowej umywalki, blisko odpływu, błyszcząca kropla krwi. Zasychałaby już, gdyby nie otaczającą pianą.

- Skaleczyłeś się? - krzyknęłam przez drzwi.

- Zaciałem się. - Mąż walczył w kuchni z niesfornym ekspresem do kawy. - Ale nie martw się, tylko trochę.

- Przemyłeś ranę? Opatrzyłeś?

Odpowiedział, że tak. Że przylepił do ściętego naskórka rąbek gazety.

Byłam w aptece po wodę utlenioną i plastry do apteczki. Przede mną w kolejce stała kobieta, którą wzięłam za rówieśnicę. Spytała farmaceutkę o witaminy prenatalne, a gdy tamta postawiła na ladzie plastikową fiolkę, zrezygnowała z nich. Chwila konsternacji.

Powiedziałam farmaceutce, żeby nie chowała ich; ja je wezmę.

Oczywiście zapomniałam o opatrunkach.

Dłonie na piersiach, brzuchu, udach. Pocałunki, których potrzebowałam jak chleba. Usta muskały wzgórek Wenera, chłonąc smak wypalanej mąki i truskawek...

Miłosna mapa, wytyczona oraz sprawdzona niczym klasyczny przepis na kuchenny afrodyzjak. Dużo czasu minęło, nim przekonałam się, że seksualna przyjemność może być spokojna, trwała, a nie rozedrgana i ulotna jak duch.

W naszym życiu nie było już duchów - wyjątek: dziecko

z lustra.

Mąż zapalił światło, podał papierosa: tym razem nie chciałam. Kiedy usnął, wyjęłam z szuflady nocnej szafki buteleczkę z karmą dla nienarodzonych dzieci; rozmyślając o karmie, połknęłam. Zrobiłam to nie dość szybko; osad o smaku zbyt nieokreślonym, by można było go przywołać, pozostał na języku do rana.

Pomarańcze? - moje kubki smakowe zgadywały.

A może purpurowe granaty?

RADOŚĆ

W moim śnie leciałam, unoszona w przestrzeń przez kolorowy balonik, którego sznurek okręcony miałam wokół nadgarstka.

Drugi balon najwyraźniej połknęłam, bo ciało zatraciło znany punkt ciężkości. Mogłam latać, kołysać się, kręcić kółka, obracać.

Nie bawiłam się tak od dziecka!

Dusze nienarodzonych, stworzone w jednym czasie z duszą Adama, przebywają, pilnowane przez anioły, w siódmym niebie. Kiedy nadejdzie czas zaimplantowania pojedynczej duszy w łonie matki, anioł zabierze ją na wycieczki. Pierwszego dnia pokaże raj sprawiedliwych. Drugiego - piekło. Trzeciego - świat ziemski i przyszłą rodzinę. Miejsce urodzin i miejsce śmierci. Wszystko będzie określone, z wyjątkiem pobożności lub nikczemności nienarodzonego, tu wybór pozostawi się duszy.

Anioł wyprowadzi ukształtowane dziecko z łona matki na świat. Odcisnie swój kciuk ponad ustami noworodka, czym jednocześnie zapieczętuje prenatalną pamięć woskiem największego sekretu. Wszystko zapomina się przy narodzinach. Wszystkiego dowiaduje się po śmierci.

Po dwóch tygodniach znalazłam krew w klinie majtek.

Wiedziałam, że oznacza to zagnieżdżenie się zarodka w macicy. Powiedziałam mężowi, że jestem w ciąży. Kazał mi zrobić test.

- I jak ty sobie to wyobrażasz?

-A jak ty?

- Nie mam pojęcia.

- To wspaniale. Martwiłabym się, gdyby było inaczej. Z mieszanymi uczuciami, które koniecznie potrzebują interwencji, poszedł do przyjaciół, na drinka. Objadłam się czekoladą.

Następnego dnia wymiotowaliśmy jak zgodne małżeństwo.

## CZUŁOŚĆ

- Chodź do mnie - powiedziałam do męża. Położył się w niecce skrzyżowanych ud. Cięży jeszcze nie było widać, jeszcze była tajemnicą.

Pogładziłam czoło mężczyzny, musnęłam szorstkie brwi; głowę, gdzie na ciemieniu skóra zaczęła prześwitywać spod włosów...

Obydwoje stworzyliśmy coś nowego. Słowo „my” ucieleśniło się w trzeciej osobie. Amen.

Następne parę tygodni spędziłam, mierząc się i ważąc, co miało pomóc mi ustalić, gdzie kończę sieja, a zaczyna się istota, którą noszę w ciele. Domyślałam się jej, ale chciałam uczynić bardziej realną; odgadnąć kształt. Po niedługim czasie dałam sobie spokój: wiedza albo przychodzi sama, albo jej nie było w ogóle.

Wspomnienia, które niosły portret dziewczynki wciśkającej pod podkoszulek jasiek, młodej kobiety nieśmiało kartkującej czasopisma dla matek, można było między bajki włożyć.

## CIEKAWOŚĆ

Jak ono będzie wyglądać? Do kogo będzie podobne?

Jakie będzie miało marzenia? Kim zostanie? Jakie nadać mu imię?

## DUMA

Oglądałam ubranka małe jak dla krasnali albo ogrodowych elfów. Ubranka nie z tego świata. Idealnie wykoń-

czone, z hafcikami jakby robionymi pod lupą. Drogie jak diabli.

„Obowiązkowo” niebieskie śpioszki i kaftanik uszyte były z przeznaczeniem dla chłopców, różowe - dla dziewczynek.

Jeszcze sto lat temu w czerwienie, róże, które wówczas kojarzyły się z siłą oraz energią, ubierano tych pierwszych. Błękit, łączony ze spokojem, powagą sukni NMP, miał oblekać ciała nowo narodzonych dziewcząt.

- Musi być pani bardzo dumna - powiedziała do mnie sprzedawczyni.

- O tak, jestem - odpowiedziałam.

## FASCYNACJA

Czyściłam akwarium. Włączyłam podgrzewacz do wody. Patrzyłam na termometr, czekałam. Rybki pływały uradowane, chłonąc różowymi skrzelami świeży tlen z nowej wody... Tymczasem „rybka” noszona pod sercem zebrała się do pierwszego kopnięcia. Kompletne osłupienie. Ugotowałam ryby, które nie miały tyle szczęścia, by móc schronić się we mnie.

Lekarz przesunął sondą po moim usmarowanym galaretką brzuchu. Na ekranie poruszała się ożywiona czarno-biała fotografia z nieznanego albumu rzeczywistości.

Żadnego podobieństwa: kosmita zrobił dwa fikołki, opadł na brzusek. Mąż dostał wypieków, po równo z dumy i ze zdenerwowania. Całe to podglądanie wydało mi się bardzo nieładne. Trzeba dać dziecku spokój!

- Dziewczynka, na pewno dziewczynka - powiedział lekarz.

- Och, to wspaniale - rumieńce zyskały na intensywności.

Starłam się protestować:

- To chłopiec. I nazwę go Patryk, po świętym, który wypędził z Irlandii wszystkie węże.

- Cicho, malutka - nie wiedziałam, czy mąż mówił do

żony, czy do wyimaginowanej pędraczki.

Mąż, rodzice oraz teściowie byli przekonani, że urodzę dziewczynkę. Trwały dyskusje, po której babci nadać jej imię. Albo po którym kolorowym magazynie: Claudia? Oliwia? Tina? Poszedł w ruch słownik imion. Natalie, Weroniki, Kasie, Matyldy, Pauliny, Marie i Józefiny fruwały wokół mojej głowy. Skoro rodzina ignorowała moje słowa, to postanowiłam się do niej nie odzywać. I zamilkłam.

## MIŁOŚĆ

Miłość cierpliwa jest,  
łaskawajest

Miłość nie zazdrości,  
nie szuka poklasku,  
nie unosi się pychą;  
nie dopuszcza się bezwstydu,  
nie szuka swego,  
nie unosi się gniewem,  
nie pamięta złego;  
nie cieszy się z niesprawiedliwości,  
lecz współweseli z prawdą<sup>2</sup>.

Będąc w ciąży, poczułam taką miłość.

## SIŁA

Opowieści o matkach, które były w stanie wyrwać samochodowe drzwi, by uwolnić z potrzasku dzieci - wreszcie byłam skłonna w nie uwierzyć.

Obmacywałam wypukły brzuch, chcąc znaleźć ukrytą klapkę, poderwać ją, wypuścić Patryka. W cieniu ud wciąż byłam tak zwarta, że w przyływie natchnienia postanowiłam urodzić przez pępek. Skoro inni oświeceni mogli przezeń oddychać...

WYZWANIE

„Według podania św. Patryk wypędził wszystkie węże

z Irlandii, posługując się świętą laską, i po dziś dzień nie ma w tym kraju węży. Jako patron przeciw ukąszeniom tych gadów czasami jest przedstawiany, jakje depcze"3.

Urodzić świętego?

Straszne historie o ludziach, których bolały obcięte nogi i ręce... Byłam z Dzieckiem tak blisko: zaczęłam się bać, że kiedy już wyjdzie z brzucha, to wciąż będę je tam czuć.

Macierzyństwo jako ból fantomowy?

Wczoraj, nim położyłam się spać, opuchniętymi palcami rozsunałam listewki żaluzji: wyjrzałam na świat. Światło księżyca w pełni rozlewało się po chodnikach, szarych sylwetkach domów naprzeciw, czerwonych dziecięcych huśtawkach. Ich łańcuszkami, wygrywając nieznane kołysanki, poruszał wieczorny wiatr. Na tyle, na ile mogłam, spojrzałam w niebo. Taki księżyc przyśpieszał moje miesiączki, budziłam się wówczas na poplamionym prześcieradle z widmowym trzaskaniem w krzyżu. Bardzo dawne czasy.

Usnęliśmy. Wkrótce z najgłębszego snu obudziło mnie tąpnięcie w dole brzucha i wylało się ze mnie morze oczekiwania.

Wody były wszędzie, przybywało ich jakby z każdym uderzeniem tętna w skroni. Leżeliśmy w basenie?

3 Malcolm Day, Wszyscy święci, tłum. Krzysztof Gołębiowski, G+J, Warszawa

2002.

61

- Kobieto, chcesz nas potopić?! - warknął przestraszony mąż i pojechaliśmy do szpitala.

OCZEKIWANIE

Pielęgniarka zdezynfekowała moje plecy. Szpitalna koszula miała głębokie rozcięcie z tyłu, niby wieczorowa suknia jakiejś Jane Fondy.

Anestezjolog - starszy pan w okularach i z bokobro-

dami, przypominający ikonograficzną postać Pana Boga - wkłuł się, założył cewnik między kręgi, opowiadając jednocześnie historię rodzinną, której nie zapamiętałam. Nie słuchałam, myśląc to o środku znieczulającym wpływającym we mnie, to o długich godzinach pozostających do strawienia. I nagle nie miałam już nóg, brzuch zasłaniał palce, tak że złudzenie było pełne.

- Gdzie jesteś, mój synku? - myślałam. - Kiedy przyjdiesz?

Poród - akcja, którą niemrawo udają aktorki na filmach. A ja walczyłam, żeby ujrzeć Dziecko. Znowu. Tutaj. Wreszcie.

Mąż kręcił się na trzeciego (byli tu jeszcze lekarz i położna) pomiędzy moimi udami. Wymachiwał lusterkiem - dzieciak puszczający zajączki! Świtało.

Pantomima! Zgięta w pałąk, próbowałam nie wydusić słowa i wydusić człowieczka. W kieszonkowym lusterku zobaczyłam główkę, czółko, zaciśnięte powieki; palce garnczące się do nosa...

- To chłopiec! - wykrzyknął mąż.

- Patryk - zgodziłam się łaskawie. Głos unosił się i opadał, on jeden znużony beczynościami.

62

- Poproszę o wodę - powiedziałam.

Znikłam.

Ocucona, powróciłam do siebie. Bardziej niż kiedykolwiek.

SPEŁNIENIE

Mój świeżo narodzony syn, leżący w kochających ramionach ojca.

(teraz)

Promienie słońca, zmiękczone przez mleczną szpitalną szybę, okrywają mnie welonem. Pławię się w nim jak wróbel w gorącym piasku. Inne położnice z sali zdają się nie zauważać tego, co się ze mną dzieje, a przecież ja lewituję!



Może to przytrafia się każdej? Ciało unosi się ponad łóżko, pozostawiając daleko za sobą prześcieradło i gumowe kółko włożone pod pośladki, by mniej dokuczały szwy. Nie czuję nic poza błogością. Lekkością.

Sutki mi się kurczą, piersi pęcznieją, kiedy do uszu dociera skrzywienie wózków, którym przewożą niemowlęta. Dziesięć palców u rąk, dziesięć palców u nóg, zejść na ziemię, żeby dokładnie policzyć, czy się zgadza. Obejrzyć Patrykowi dłonie i stopy, a gdy przyjdzie pora, nauczę go unosić się na falach rzeczywistości ku magicznemu życiu - po tej stronie lustra.

„Początkiem zawsze jest matka. Od niej zaczyna się wszystko”<sup>4</sup>.

Amy Tan, Córka nastawiacza kości, tłum. Łukasz Praski, Prószyński i S-ka, Warszawa 2002.

#### WDOWA

Rósł w moim ogrodzie piękny krzew granatu,  
Powiał wiatr i wyrwał go z ziemi,  
Poniósł go ze sobą.

Rósł w moim ogrodzie goździk,  
Czerwony i pachnący.

Zbliźcie się, sąsiadki, patrzcie, jest zerwany.

Mój młody, młody małżonku,

Wołam, a ty nie odpowiadasz.

Słońce już zaszło, lecz księżyc

Twoje piękne oczy już nie widzą.

Wołam do ciebie każdego dnia, wczoraj i dzisiaj, by ci powiedzieć,

Jak wielki ogień płonie w moim sercu.

A twoje piękne oczy już nic nie widzą.

Pieśń żałobna z Salento

Uran przekształca się w tor, tor w rad, rad w radon,  
radon w polon, polon w ołów.

Wchodzę do pokoju. Ktoś mówi: „On nie żyje”. Czy

można zrozumieć te słowa? Piotr nie żyje - on, który dziś rano wyglądał dobrze, on, którego chciałam tulić wieczorem. Zobaczę go już tylko martwego i na tym koniec, koniec na zawsze. Powtarzam jego imię ciągle i stale:

64

„Piotrze, Piotrze, Piotrze, mój Piotrusiu, niestety, to go nie przywraca, odszedł, pozostawiając mi tylko pustkę i rozpacz”.

Pewna kobieta zjadała prochy swojego męża, by z siebie zrobić żywą urnę. Nie znałam jej. Tak jak ona jestem wdową. Wdowa - nowe słowo, które trzeba, należy oswoić.

\*\*\*

Piotrze, mój Piotrze, leżysz tu spokojnie z obandażowaną głową, jak nieszczęśliwy ranny, który śpiąc, odpoczywa. Masz twarz łagodną i pogodną, to wciąż jesteś ty, zatopiony w marzeniu, z którego nie możesz się wyrwać. Usta twe, które nazywałam kiedyś łakomymi, blade są i bezbarwne. Bródkę masz posiwiałą. Włosów ci prawie nie widać, bo rana tu się zaczyna, a nad czołem po prawej stronie ukazuje się pęknięta kość. Och, jakże cię musiało boleć, jak krwawiłeś, twoje ubranie jest przesiąknięte krwią. Jakież straszne uderzenie zniosła twoja biedna głowa, którą tak często pieściłam, biorąc w ręce. Całowałam twoje powieki, które przymykałeś, abym je pocałowała, podając mi głowę zwykłym ufnym ruchem, który pamiętam do dzisiaj, a który będzie mi się rozpląwał w pamięci coraz bardziej. Powinnam mieć pamięć malarza albo rzeźbiarza, aby twój wizerunek nigdy mi nie zniknął. Jak mgła. Jak szept. Jak szron. Jak złość.

Data: 19 kwietnia 1906 roku.

Miejsce: Skrzyżowanie. Pont Neuf, nabrzeże, rue Dauphine.

Mordercy: Luis Manin (woźnica). Dwa młode perszerony. Tylne, lewe koło wozu. Parasol i deszcz. Zmęczone

65

ciało, przeżarte radem. Myśl: „Mój syn nie żyje! I nad czymże się znowu tak zamyślił?” - Eugene Curie.

To jest sen, Piotrze. Okrutny sen. Kto śni głębiej? Ty? Czyja? Kto pierwszy z nas się obudzi? A może pozostanie już tak na zawsze? Myślę sobie, że chciałabym, żeby tak było. Żeby dali mi spać, a nie kazali iść dalej. Ale każą. Powinnam być wdzięczna, a nienawidzę ich za to.

Nienawidzę jak mężczyzny, który ci to zrobił. Konia. Kół powozu. Twojej parasolki, która zasłoniła ci widok. Przysłoniła życie. Przynieśli ją razem z ciałem. Nienawidzę twojej głowy, w której znowu (po raz ostatni) coś zabłysło, coś się uroiło.

Urodziło się i umarło.

Przywieźli mi przedmioty, które znaleźli przy tobie: pióro, wizytówki, portfel, klucze, zegarek. Zegarek nie zatrzymał się, kiedy głowa została zmiażdżona. Nadal tyka. Delikatne tik-tik. Postanowiłam go nie nakręcać, gdy wreszcie ucichnie. Nie nakręcać, ani nic... Bezruch. Poznali twoją śmierć po wizytówkach. Pierre Curie.

Powiedzą o tobie, że wybiłeś się ku sławie z mentalnością maltretowanego psa. Pierre Curie, Wydział Nauk Ścisłych. Sorbona.

Zwolniłam Emmę. Tę okropną służącą, która dziewiętnastego rano zażądała podwyżki. Powiedziałaś jej, że nie utrzymuje domu w należyтым porządku. Jestem zazdrosna o słowa, każde słowa, zmarnowane na nią. Lepiej by było, żebyś już milczał.

Milczał i ścisnął moją dłoń, Piotrze...

Nasza biało-czarna kotka stanęła w progu pokoju, jak tylko cię przywieźli i położyli na uprzątniętym ciężkim,

66

dębowym stole. Końce butów lekko wystawały za krawędź. Kotka przysiadła i badała węchem powietrze. Jej ogon się najeżył, a później zaraz uciekła. Nie chcę wiedzieć, co takiego poczuła. Wydam ją, jak tylko nadarzy się

okazja. Nieważne, co pomyślą dziewczynki. To akurat jest nieważne. Może nawet nie zauważą, ale chyba się mylę. W końcu to ukochany kot. Cud ponad cuda, kiedy jest się małym.

Pomyśl, jak mam powiedzieć naszym dzieciom o tobie? Irene nie zrozumie. Jest za mała. Eve w ogóle nie będzie cię pamiętać. To już postanowione. Te dwa lata z tobą raczej będzie czuć, niż wiedzieć, że istniały. Że ty istniałeś. Pamiętasz naszą martwą córeczkę? Czy to możliwe, że gdzieś teraz trzymasz ją w ramionach? NIE. Żal jest nam, rodzicom, utraconego potencjału, jaki mógł tkwić w takich poronionych dzieciach. Jej śmierć była śmiercią mglistych nadziei... Twoja śmierć to fakt. Od A do Z. Miałeś być moim towarzyszem, dopóki nie zgarbię się i nie zeschnę, kto się pomylił? Kogo mam o to nieszczęście oskarżać, żeby nie zwariować?

Pierre Curie: „Owinałem w celulooid radonośny bromek baru i przyłożyłem sobie do ramienia na dziesięć godzin, bym mógł wkrótce opublikować z Henri Becquerelem notkę o fizjologicznych oddziaływaniach promieni radu. Co zanotowałem:« Skóra zaczerwieniła się na powierzchni sześciu centymetrów kwadratowych; wyglądało to na oparzenie, ale skóra nie bolała lub prawie nie bolała. Po pewnym czasie zaczerwienienie stawało się bardziej intensywne, choć nie rozszerzało się. Dwudziestego dnia utworzyły się strupy, a później rana, którą opatrywano bandażami. Czterdziestego drugiego dnia na brzegach za-

67

czął się tworzyć naskórek, rozszerzając się ku środkowi, zaś pięćdziesiątego drugiego dnia pozostaje jeszcze rana o powierzchni jednego centymetra kwadratowego, która przybiera kolor szarawy, wskazujący na to, że martwica sięga głębiej ».

Podczas doświadczeń z aktywnymi materiałami mnie i Marie pojawiały się na dłoniach najróżniejsze symptomy.

Ręce mają tendencję do łuszczenia się. Opuszki palców, które trzymały probówki lub kapsuły zawierające bardzo aktywne pierwiastki, stają się twarde i czasami bardzo bolą; w wypadku jednego z nas zapalenie trwało dwa tygodnie i skończyło się zejściem naskórka, natomiast bolesne podrażnienie nie znikło do końca jeszcze po upływie dwóch miesięcy".

Piotrze, wyprosilili mnie, żeby zdjęć z ciebie krwawe ubranie i obmyć twoje rany. Żałuję, że na to pozwoliłam! Powinnam krew, paryskie błoto i deszcz zmyć z twojej skóry własnoręcznie - w końcu jestem twoją żoną... Madame veuve Curie. Zapewne z tego samego powodu pragnęli mi tego oszczędzić. Tej katastrofy, tego zniszczenia, jakby miało to cokolwiek zmienić, naprawić rzeczy nie do naprawienia. Trzeba im to wybaczyć. Piotrze, pachniesz octem i mydłem Palmolive, ale już nie sobą. Nie czuję twojego potu, nasienia, krwi. Nic. Łzy są bez zapachu. Wpycham palce pod krochmalony kołnierzyk koszuli; w szpary pomiędzy guzikami. Czuję sztywne włosy. Pragnę cię. Ile czasu zostało jeszcze dla moich pragnień? Zaraz pogrzeb, ukrycie ciała. I ja swoje ukryję - na zawsze - pod czarną sukienką. Dotknąć cię tam, nisko! Pocałować twoje ciemne, gdyby jeszcze istniało. Nie rozpadło się niczym porcelanowa miska na piętnaście kawałków! Twój mózg, twoja

68

miłość do mnie, twój geniusz wytrysnęły na bruk starego Paryża, Piotrze. Dotykam twoich dłoni. Paznokcie przyjęły kolor błękitu jak polne kwiaty. Oparzenia od radu cały czas są widoczne. Nie zniknęły jak stygmaty po śmierci noszących je świętych - Katarzyny ze Sieny, świętego Franciszka; a przecież te oparzenia są stygmatami. Znakem miłości, znakiem wiary - w nas i rad.

Śpieszyłeś się, a ja zajmowałam się dziećmi. Spytałeś, czy przyjdę do laboratorium. Powiedziałam ci, że nie mam pojęcia i żebyś mnie nie męczył. Wtedy wyszedłeś, a ostat-

nie zdanie, które powiedziałam do ciebie, nie było pełne miłości i czułości. Nic nie dręczy mnie bardziej niż to. Och, Piotrze, ty tak wierzyłeś w duchy. W to, że w pierwszej chwili są niewidoczne, jak niewidoczna jest istota radu. Ale symptomy zeznają na ich korzyść, nie można się pomylić... Trzeba odkryć. Trzeba zrozumieć ich naturę i opisać to, co tylko z pozoru wymyka się opisom. To trudne, ale do zrobienia. Wiemy to, Piotrze. Czy wiedza miała dla nas coś wspólnego z wiarą? Albo całkiem na odwrót, mój Piotrze. Ciągłe nazywam cię polskim imieniem, choć przecież myślę po francusku. Dla ciebie zostawiłam wszystko, do czego najbardziej pragnęłam wrócić z Sorbony; aż za minutę okazało się to nieważne. Wszystko jest nieważne bez ciebie. I nie jest to okropne, tylko smutne. Smutne są duchy. Nazywała się Eusapia Palladino. Jej obecność ożywiała martwe przedmioty i zaludniała puste przestrzenie zjawami. Maltretowana (bita? gwałcona?) w dzieciństwie, utrzymywała, że w wyniku doznanego urazu kości jej czaszki rozeszły się i utworzyła się dziura, z której w trakcie seansów spirytystycznych wy-

69

dobywało się chłodne powietrze i ektoplazma. Powietrze tak chłodne, jak chłodne dłonie ma mój Piotr. To, co robiła ta kobieta, wydało ci się, Piotrze, bardzo interesujące. Wydawało ci się, że to, co widzieliśmy, nie było oszustwem. Dla Eusapii było prawdziwe jak śmierć, choć miało być śmierci zaprzeczeniem. Stoły unoszące się w powietrzu, poruszające się przedmioty, widmowe dłonie - pieściły i szczypały świetliste widziadła. Trzymaliśmy medium za ręce i stopy, jakże więc mogło nas oszukać? Powinnam się złapać tej myśli z nadzieją, ale ją nadzieję odrzucam, kiedy obok mnie jest twoje sztywniejące ciało. Chciałabym się pomylić! Przyjdź do mnie dzisiaj w nocy, jeśli tylko potrafisz. Niech będzie z naszej miłości jeszcze jedno dziecko! Słyszysz? Piotrze... Mężu, przyjacielu, ko-



wahania, z zupełną pewnością, że robisz dobrze. Mój Piotrze, zdaje mi się, żeś się nie pomylił. Byliśmy stworzeni do tego, by żyć razem, i związek nasz był konieczny. Ale przecież miał trwać dłużej.

Przyłożyłam głowę do trumny i w wielkiej rozpaczynie mówiłam do ciebie. Powiedziałam ci, że cię kocham i że zawsze cię kochałam całym sercem. Przynależałam, że nigdy nie oddam nikomu miejsca, które zajmowałeś w moim życiu, i że spróbuję żyć tak, jak chciałeś, żebym żyła. I gdy tak opierałam czoło o zimną trumnę, poczułam, że w moje serce wstępuje jakiś spokój i nadzieja, że jednak znajdę odwagę, by żyć dalej.

Nie znalazłam. Potrafiłam się tylko okłamać. Wszystko to popiół. Piach i zwiędłe liście. Kwiaty, co rok kwitnące

71

na twoim grobie. Zaklęcie, którego nie da się odwrócić. Jestem zupełnie bezradna.

Czy ty mnie słyszysz, Piotrze?

Czy mnie słyszysz?

Pierre Curie: „O Tobie myślę, Kochana, która wypełniasz mi życie, i chciałbym nowy dar osiąść. Wydaje mi się, że ześrodkowując moje myśli wyłącznie na Tobie (tak to właśnie czynię), powinienem móc Cię ujrzeć, widzieć. Co robisz, a także dać Ci odczuć, że cały należę do Ciebie w tej chwili - lecz nie potrafię odtworzyć sobie Twojego obrazu. Potrzebuję Twoich pieścizot i chciałbym schować głowę w Twych ramionach i czuć Cię tak blisko siebie. Czekałam Cię od rana do wieczora”.

\*\*\*

Gram radu sprawia, że gram wody przechodzi w ciągu jednej godziny od stanu zamrażnięcia do stanu wrzenia. Byliśmy szczęśliwi. Miałam także poczucie, którego doświadczałam ostatnio bardzo często: że nic już nam więcej nie grozi.

Dawno temu wdowy w Neapolu obcinały włosy i ciskały



je na trumny mężów. Czas żałoby dobiegał końca, kiedy „nowe” włosy sięgnęły swymi końcówkami łądźwi. Czy taka rozpacz jest tylko domeną kobiet? Rossetti zagrzebał premierowe wiersze wraz z ciałem ukochanej żony. Mi-  
nęło sześć lat, zdobył sądowe pozwolenie na ekshumację, by je wydobyć. By wydobyć manuskrypty.

79

Szukam ukojenia w historiach innych, ale go nie znajduję. Palce mi popuchły i nie mogę przełożyć obrączki na drugą dłoń, wdowi palec. Dotąd nosiłam ją na „sposób polski” - na palcu serdecznym prawej ręki. We Francji spotkałam szczęśliwych małżonków, których obrączki obejmowały serdeczny palec po lewej stronie ciała. Próbowałam się dopytać: ale dlaczego lewa ręka? Jakże dlaczego? Przecież lewa ręka to ta od serca; leży od niego bliżej!

Istotnie... Moje serce stanęło, przestało bić.

Nie wiem, co to jest radość, przyjemność. Jutro skończę trzydzieści dziewięć lat. To już rok. Żal nadal jest, choć przytłumiony. Jak by to było dobrze zasnąć i się nie obudzić. Moje kochanie, dzieci są jeszcze takie małe. Jakże jestem zmęczona.

Weszłam do twojego pokoju: dzieła Victora Hugo, książki medyczne - wszystkie stoją w miejscach, które im wybrałeś. Stałam pod słońce: ramka reprodukcji Źródła Ingres'a była mocno zakurzona; pomyślałam, że gorsza ze mnie sprzątaczką nawet od Emmy. Przycisnęłam palec do szybki, aż zszarzał. Przesuwając nim, oczyściłam wystający brzuch, krągłe biodra modelki. Aby odsłonić piersi, nie starczyło już sił. Myślę o tym, czego mi nie pozosta-  
wiłeś...

Piotrze, same dzieci nie wystarczają nigdy. Dzieci to nie my. MY.

Nie podejrzewają cię, że równie dobrze co Newtona cytowałaś Owidiusza. Nie podejrzewają mnie, że rozumia-

łam. Chwaliłeś się, że to twój brat podrzucił ci to tłumaczenie, by przytłumić twą naturę mnicha, humanistycznego  
73

ignoranta. Otwórz się na człowieka! Otwórz się na kobietę!  
Niezawodny Jacques.

Cytowałeś mi fragmenty Ars amandi podczas wypożyczynku w Bretanii; nie przejmując się tym, że Irene wypycha mój brzuch. Smakowaliśmy to - we troje - jak bajkę:

„Nie cierpię tych uścisków, w których jedno tylko z kochanków znajduje się w siódmym niebie. Nie cierpię kobiet, które się oddają, bo oddać się trzeba, a wilgoć nie powstaje między ich udami, bo lękają się one o czystość pościeli. Nie chcę, by kto z obowiązku obdarzał mnie rozkoszą. Lubię zaś w takich chwilach usłyszeć pochwałę lub abym strzegł się pośpiechu, lub wstrzymał się jeszcze przez chwilę. Lubię spoglądać na nią, gdy upojona rozkoszą nogi rozchyła szeroko, na wznak leżąc na swym posłaniu. Gdy zdyszana jest, a wzrok jej zamiera, i lubię, kiedy wyczerpana mówi, bym przestał ją ścisnąć”.

Piotrze, czemu mnie nie przytulasz? Nastąpiła w nas zmiana. Jesteśmy polonem czy już ołowiem?

Jacques Curie: Obie dziewczynki wyglądają ślicznie, ale Pani... Jak smutno Pani wygląda! Musi Pani zacząć dbać o siebie, choćby tylko ze względu na dzieci. Myślę, że upłynie wiele lat, zanim przyzwyczai się Pani do tej straty i rozłąki. Niemniej mam nadzieję, że zmuszona radzić sobie ze wszystkimi codziennymi obowiązkami, znalazła Pani trochę siły, by przezwyciężyć przygnębienie; stanowi Pani środek małego świata i spoczywa na Pani wielka odpowiedzialność. Musi się Pani odrodzić i wytrzymać mimo wszystko.

74

Marie Curie: Mój drogi Paul, spędziłam wczorajszy wieczór i noc, myśląc o Tobie, o godzinach, które spędziliśmy

razem i które są dla mnie tak cudownym wspomnieniem. Nadal widzę Twoje dobre i czułe oczy, Twój uroczy uśmiech, i myślę jedynie o chwili, kiedy znowu odnajdę całą słodycz Twojej obecności.

Piotrze...? Raz, jeden raz kocham się z Paulem Langevinem. To jest rozpaczliwe i nie udaje się - ta rzecz pomiędzy mężczyzną a kobietą.

Zbliżyliśmy się do siebie, bo on szukał we wdowie części ciebie. Bo ja tej samej szukałam w nim, twoim uczniu. Możliwe, że w krótkiej minucie, jako że posiadaliśmy pewną wiedzę oraz byliśmy zdesperowani, udało się nam ją odkryć; ale już nie zachować.

Kochałeś inną. Było to jeszcze przed zaistnieniem nas, ale jakie jest tego znaczenie? Znaczenie czasu, który podobno minął? Miłość jest miłością. Pamięć pamięcią.

Nigdy nie dowiedziałeś się, że jestem zazdrosna. Chciałam być kimś innym niż kobietą. Twoja przyjaciółka umarła, kiedy byłeś młodzińcem. Przez następne piętnaście lat żałoba uczyniła z ciebie mnicha. Mojego Piotrusia - bo takim cię znalazłam.

\*\*\*

Jakże ja nic nie pamiętam. Umykają mi szczegóły. Była to Niedziela Wielkanocna; dzień, w którym ziszcza się największe marzenie człowieka.

Irene biegała ze swoją dziurawą siatką i usiłowała łapać motyle. Kiedy, ku swej wielkiej radości, złapała jednego,

75

udało mi się ją namówić, by wypuściła go na wolność.

Usiadłam przy tobie, a potem położyłam się, opierając głowę na twoich kolanach. Byliśmy szczęśliwi.

Śmiałeś się, obserwując Eve, która włąziła na wszystkie bruzdy i wdrapywała się na wszystkie kamienie. Pokazywałeś Irene jakieś rośliny i zwierzęta i żalowaliśmy, że tak niewiele o nich wiemy. Zbieraliśmy i oglądaliśmy kwiaty.

Ucięliśmy kilka gałązek kwitnącej mahonii i zrobiliśmy wielki

bukiet z bagiennych jaskrów, które lubiłeś tak bardzo. Następnego dnia zabrałeś ten bukiet do Paryża i nadal jeszcze stał w pełnym rozkwicie, kiedy ty już nie żyłeś. Siedzieliśmy obok kamienia milowego i zdjęłam halkę, żebyś nie dotykał gołej ziemi; powiedziałaś, że jestem szalona, i zrzędziłaś, ale cię nie słuchałam; bałam się, żebyś się nie rozchorował.

Spaliśmy wtuleni w siebie jak zwykle. Nazajutrz postanowiłeś odjechać, byłam bardzo niezadowolona, ale nie mogłam dłużej cię zatrzymać. Chciałam dać dzieciom jeszcze jeden dzień na wsi. Jak mogłam popełnić taki błąd? Przeżyłam z tobajeden dzień mniej.

Umieram; jestem na tyle stara i znużona, że wiem, iż tamto „zmartwychwstanie” nie powróci. Tak, rozpaczliwa ta wiedza przypisana jest do ciała przeżartego radem - naszą namiętnością. Kiedy umysł zgaśnie, przeszły dzień ostatecznie zniknie. Kolejna rzecz, z którą nie potrafię się pogodzić... Religia wspomnień nie niesie nadziei, ale dumę zapewne tak. Dumę, tak. Powinni dawać za nią Noble, albo jeszcze trudniej - Noble za miłość.

Kiedy byłam młoda - wciąż młoda - myślałam (na niby): Na ulicy chodzę jak zahipnotyzowana, nie dbając  
76

o nic. Nie zabiję się, nawet nie pragnę popełnić samobójstwa. Czy jednak pomiędzy tymi wszystkimi pojazdami nie znajdzie się ani jeden, który by mi pozwolił podzielić los mego ukochanego?

Mówię do twarzy opatrzonych zmęczonymi oczyma oraz tych nieznanych, które regularnie pochylają się nad łóżkiem; nad moją zroszoną deszczem ulicą: Chcę, by zostawiono mnie w spokoju.

Czy wolałabym umrzeć przed tobą? Zamiast ciebie? Tak czy inaczej wciąż będziemy rozłączeni! Wstyd mi... Życie, instynktowna wola życia tak bardzo była przez nas opiekowana. Chcieliśmy poznać, a potem nauczyć dzieci praw,

które rządzą przyrodą. Nie było nic bardziej fascynującego niż my, harmonijnie ułożeni z tym światem.

Piotrze?1

1 Wykorzystano fragmenty Dziennika żałoby Marii Skłodowskiej-Curie oraz

pism i listów Pierre'a Curie i Jacques'a Curie.

ZGWAŁCONA

Myślałem o jakimś zacisznym miejscu, ale moja znajomość Ann Abor ogranicza się zasadniczo do terenu kampusu. Nie chcę zostawiać śladów krwi w swoim pokoju, lecz myślę, że wpadłem na wspólniały pomysł, jak porwać dziwkę. Jak ci napisałem, mój pokój znajduje się naprzeciwko damskiej łazienki. Zaczekam do wieczora i dopadnę ją, gdy przyjdzie otworzyć drzwi. Rąbnę ją tak, by straciła przytomność, i ukryję ciało w jednej z tych podręcznych szafek (zapomniałem ich nazwy), albo nawet w płóciennym worku. Potem zataaszczęją do samochodu i wywiozę. (...) Co o tym sądzisz?

Al-Khabaz

Zacznę od historii rodzinnej. Moją prababkę Marię, w nieznanych okolicznościach, zgwałcił narzeczony siostry. Dziewczyna zaszła w ciążę. Surowy ojciec nakazał jej opuścić rodowy dworek. Ze zwitkiem banknotów i rosnącym w brzuchu nieznanym, pojechała do fabrycznego miasta leżącego w Królestwie Polskim, o którym wówczas mówiło się, że jest to ziemia obiecana: wszystko jest tu możliwe, a miasto przygarnia wyrzutków jak amerykańskie osady na Dzikim Zachodzie.

Panięskim dzieckiem, które urodziła prababka, był mój stryjeczny dziadek, Bronisław. Maria miała jeszcze

78

piątkę dzieci -jednym z nich była moja babka. Ojcem tamtych był jednooki dmuchacz szkła, za którego młoda matka się wydała, wiedząc, że na nic więcej raczej nie

może liczyć. Podobno był to porządny człowiek. Jej najstarsze dziecko chował równie dobrze jak własne. To znaczy źle i szorstko. Dodam, że do małżeństwa siostry Marii również doszło. Było szczęśliwe.

Odkąd pamiętam, ta historia wisiała nad rodziną jak fatum. Nie pojmowałam tego, kiedy byłam bardzo mała, ale wystarczyło, bym podrosła na tyle, by pójść do szkoły, aby wszystko stało się dla mnie jasne. Odprowadzano mnie i przyprowadzano z lekcji. Zawsze, codziennie, przez całą szkołę podstawową. Na nic się zdały protesty. Ubie-rano mnie w niekształtne bluzki i swetry. I zawsze w spodnie - poza zasięgiem były dla mnie letnie sukienki. Matka krzywiła się wyraźnie, widząc moje rówieśniczki w minispódniczkach. „One same się proszą”, mawiała. Ubrania dla mnie zawsze były szyte z tkanin w stłumionych kolorach, tak że wiecznie wyglądałam na chorą. Fasony były niemodne. Kręcone włosy moczono mi i mocno zaczesywano do tyłu, a potem splatano w ciasny, cienki warkocz. Robiono wszystko, by mnie zeszpecić. Wierzę, że towarzyszyła temu dobra wiara. Oraz strach. Pierwszą miesiączkę potraktowano jako dopust boży. Pierwszą pomadkę, brązową i bez wyrazu, wyrzucono. Z tuszem do rzęs nie poszło już tak łatwo. O perfumach mówiono, że używają ich tylko dziwki. Kiedy poszłam na pierwszą randkę, rodzice nie odzywali się do mnie przez dwa tygodnie. Gdyby mogli, kazaliby mi zakładać dwie pary majtek i kombinezon roboczy. Nie mogli. Ich zapobiegliwość zdała się na nic. Cały czas zachowywali się, jakby wiedzieli, od zawsze, że mnie spotka to, co spotkało. Jakbym nosiła

79

w sobie jakiś felerny gen albo wirus. Przyszłość rodziny była określona w gwiazdach. Matka powiedziała, że kiedy była mała, molestował ją starszy brat. Powiedziała to tylko raz. Wyciągnęła to w jakiejś naszej kłótni jako ostateczny argument. Przegrała. Lubiłam oglądać komedie, a nie me-

lodramaty.

Twierdzi się, że „to” spotyka najczęściej wyjątkowo atrakcyjne kobiety. Dziewczyny bezwstydne: które nie wstydzą się ani swego ciała, ani urody. Tak naprawdę stanowią one jakiś procent ofiar, ale zbyt nikły, by mógł potwierdzać ludowe gadanie. Najpiękniejsze i najdumniejsze są zostawiane w spokoju. Tak jakby bano się ich. Źli mężczyźni bali się ich dotknąć. Wiele zgwałconych dziewczyn jest brzydkich i zakompleksionych. Są jak najśłabsze zwierzęta w stadzie, w tych swoich parszywych, workowatych ubraniach, z wielkimi szczękami, grubymi okularami. Odrzucone przez ludzi, stają się najbardziej dostępne dla wyrzutków innego rodzaju. Jednak najwięcej zgwałconych kobiet -jak można się było domyślić - to kobiety przeciętne. Takie jak ja. Nigdy nie powiem tego głośno, nigdy nie przejdą mi przez gardło słowa: „Zostałam zgwałcona”. „Jestem ofiarą gwałtu”.

Niedługo po tym, jak to się stało, przeczytałam o dwóch filmach, które dotyczyły takich spraw jak moja. Były to: Nieodwracalne i Gwałt. Na pierwszy z nich poszłam do kina. Siedziałam wciśnięta między fotele, gdzieś pośrodku zwyczajnie ciemnej sali, i słyszałam, jak trzaskają drzwi, kiedy widzowie opuszczają seans. Zostałam. Chciałam przyjrzeć się temu, co mi zrobiono, jakby z zewnątrz. Chciałam zobaczyć, jak to się różni od zwyczajnego aktu... Obserwowałam. Kiedy mężczyzna skończył to, co miał skończyć, z oszołomioną Moniką Bellucci (jaka ona jest piękna, 80

nawet wtedy...), a potem zaproponował swój ciąg dalszy i usłyszałam, jak pod butem trzaskają kości twarzy leżącej kobiety, to pomyślałam, że miałam wiele szczęścia. Właśnie tak. Wiele szczęścia. Na Gwałt już nie poszłam. Odstęczyła mnie jednoznaczność tytułu. Zaskoczyło mnie to, bo przecież nie jestem już taka naiwna, delikatna jak kiedyś. Mało co do mnie dociera, zmiany wyczuwam ra-

czej intuicyjnie, świat odgradza ode mnie przezroczyta szyba, jakbym miała depresję, ale to nieprawda. Jestem zdrowa, nie zmiażdżono mi twarzy. Gwałt nie był zbyt brutalny. W pierwszym miesiącu przestałam używać tamponów i teraz mam w łazienkowej szafce grube podpaski. Pewnego dnia, siedząc w toalecie, zorientowałam się, że chciałabym wziąć brzytwę ojca i wyciąć, wyciąć wszystko to, co mam tam na dole. Obrzezać się, tak jak robią to afrykańskim kobietom. Wiedziałam, że to jednak nie jest prawda. To kaprys. Kaprys, na który nie zasługuję. Barbarzyństwo i głupota. Po gwałcie nie zaprzestałam przyjmowania pigułek antykoncepcyjnych. Uratowały mnie przed losem prababki Marii, a po wtóre: ja wciąż liczę, że przecież w końcu będę się znowu kochać.

Najednej z ostatnich imprez był mężczyzna, o którym wiedziałam, że został zgwałcony. Nie wyglądał jakoś inaczej. Śmiał się i opowiadał dowcipy. Pił piwo - ani więcej, ani mniej niż wszyscy. W pierwszej chwili pomyślałam, że ma kłopoty z nerkami, bo wychodził częściej za potrzebą. Wracał i znowu był duszą towarzystwa. Polubiłam go. Nikt mu nie współczuł ani nic. Nie robił z siebie ofiary, nie udawał chojraka. „Dlaczego zażywanie viagry przypomina jazdę na karuzeli? Bo to godzina czekania i pięć minut radochy!”. Opowiadając, dużo gestykulował, i przyjrzałam się jego rękom. Były nienaturalnie blade, suche, a skóra wokół paznokci była bardzo zaogniona. Zorientowałam się, że on wychodzi tak często, bo musi ciągle i ciągle myć ręce. Nerwica natręctw. Wiedziałam też o nim, że ma wszyty sztuczny zwieracz.

Ja nadal odczuwam przyjemność, kiedy się masturbuję (wciąż się boję, że zostanę na tym nakryta). Znacie to uczucie ciepła, drżenie, a potem to coś, co kurczy się i rozkurcza w dole brzucha, w głębi i ciemności, a po wszystkim okazuje się, że ma się pogryzione usta, aż do krwi. Nadal mogę słuchać Like a Virgin Madonny.



Kupiłam magazyn „Cosmopolitan”, numer, w którym były męskie akty. Oglądanie ich sprawiło mi przyjemność. Patrzenie na gołe, umięśnione pośladki, do których przykleił się piach (sesja zdjęciowa miała miejsce na plaży). Uda i lędźwie oblewane wodą z oceanu. Nie brzydzę się mężczyzn. Nie boję się ich.

Ciągle towarzyszy mi zapach tamtego mężczyzny. Napastnika. Jest to woń spermy. Czuję ją jakby w ustach, w zagłębieniu nad górną wargą. Powraca, nawet kiedy palę mocnego papierosa albo wtulam twarz w wykrochmaloną przez matkę pościel. Szorstką jak papier. Jest to zapach niezmywalny. Próbowалам, naprawdę - zmieniałam kremy, szampony, mydła. Bardziej oporna do szczyzczenia mogła być tylko krew na rękach lady Makbet. Oto znamię. Skaza. Często próbuję sobie przypomnieć, że przecież ja nie zrobiłam nic złego. Piętno powinno dotyczyć gwałciciela, a nie mnie. Jest jednak inaczej. On już pewnie zapomniał, że w ogóle istniałam. Że byłam dotykana.

Spotykamy się od trzech miesięcy, jesteśmy sobą zainteresowani, a jeszcze nie kochaliśmy się. To nie jest normalne, bo ani Ty, ani ja nie jesteśmy ortodoksyjnymi katolikami. Nie bez znaczenia jest to, jak bardzo mi się podobasz: Twoje mocne ręce, nadgarstki porośnięte jasnym, jakby złotym, puchem. Oczy, blizna nad lewą brwią, pamiątka po tym, jak Twój starszy brat popchnął Cię na zaspę śnieżną, gdy byliście chłopcami. Wbił Ci się okruch lodu... Tak, pora coś postanowić. Zdecydować się.

Chcę, żebyś go we mnie włożył.

Zgwałcono mnie w akademiku; w łazience akademika. Wczesnym popołudniem, kiedy studenci byli na zajęciach. Ja zostałam, bo dzień wcześniej zjadłam coś pasudnego; dalej, wiadomo: gorączka i ból brzucha. Przede wszystkim jednak chciałam wykraść parę godzin, by być wreszcie sama. Nie pamiętałam już, jak smakuje cisza. Przeprowadziłam się do domu studenckiego, by zyskać

trochę autonomii. Miałam dość ciągłych nakazów i zakazów, dość wyburzałych bluzek, które matka prała w najtańszym proszku. Postanowiłam, że tak zrobię, kiedy byłam jeszcze przed maturą. Matka protestowała, mówiła, że zajmuję komuś potrzebującemu miejsce, że wpadnę w złe towarzystwo i przestanę się uczyć. O tym, że ktoś będzie mógł mnie swobodnie pieprzyć, nie wspomniała, choć głównie chodziło o to. Miała to wypisane na twarzy.

Jeszcze mogę przypomnieć sobie radość, którą czułam w chwili, kiedy zamykałam drzwi, zostawiając po drugiej stronie ojca i matkę.

Nie potrafiłam przystosować się do rytmu akademika, rodzina tak wniknęła we mnie, że dla rówieśników byłam obca. Drażniły docinki, wieczna obecność, ciągłe biegi po korytarzach. Można rzec: wpadłam z deszczu pod rynnę. Kiedy w pierwszy weekend po gwałcie (pogodziłam się z tym, że życie będzie dzielić się na to „przed nim” i „po nim”; chyba że ktoś zrobi mi to jeszcze raz, to byłoby jedyne rozwiązanie), wprowadziłam się na powrót do domu, nikt tego nie skomentował. Zrobiłam to, czego się po mnie spodziewano, upokorzenie było niemal równe temu, które czułam, kiedy penetrował mnie obcy kutas.

Nie złapano gwałciciela. Nie złożyłam doniesienia o przestępstwie. Nie powiedziałam nikomu. I Tobie też nie powiem; chwała Bogu, że nie potrafisz czytać w myślach. „Sama się o to prosiła” - spodziewam się, że tak by powiedziano, gdyby prawda wyszła na jaw. Jestem nie tylko zgwałconą. Jestem kłamczuchą.

Nie zostawił na mnie żadnych śladów bicia. Było tak, ponieważ się nie broniłam. I nie była to kwestia strachu - raczej przekonania, że w moim przypadku nie dało się tego uniknąć.

Pobrudził mi pośladki spermą; nie wytrzymałam, upuściłam mocz na spodnie od piżamy. Jego też musiałam

oblać, bo po tym, jak mnie zostawił - zgiętą w pół, w kabynie - słyszałam, jak puszcza wodę w kranie. Zdejmuje z podajnika papierowy ręcznik. Odszedł. „Tylko cisza jest wielka; wszystko, co nie jest nią, jest błahe”<sup>1</sup> - przeczytałam w jakiejś książce. W dzwoniącej w uszach ciszy poprawiłam ubranie. Korytarzem, przez morze ciszy, przeszłam do pustego pokoju. Włączyłam elektryczny czajnik. Gotująca się woda postawiła kropkę nad i. Co się stało, to się nie odstanie.

Jemy późną kolację w barze, który otworzono nieopodal Twojego domu. Byliśmy w kinie. Film, Powrót Króla, nie 1 Alfred de Vigny, La mort du loup.

podobał mi się. Minie jeszcze trochę czasu, a spytasz, czy nie weszłabym do Ciebie. Wciąż, wciąż rozpatruję powód, żeby tego nie robić. Jestem jednak młoda, to zaryzykuję. Trzeba czegoś więcej niż gwałt, by przestać być niewinną. Nie niewinną - naiwną. By przestać się oszukiwać. Chcę pozostać dziewczyną, tylko dziewczyną. To jedyne marzenie w świecie pełnym kandydatek na modelki, aktorki, piosenkarki.

Zgwałcono mnie, kiedy poszłam do toalety. Rozstrój żołądka już się skończył.

Bujałam w obłokach, on wszedł za mną niezauważony. Otworzyłam drzwi kabiny, wtedy pchnął mnie w plecy. Straciłam równowagę, oparłam się o ścianę. Wcisnął mi palce w usta, drugą ręką ściągnął spodnie. Zerknęłam na jego skórę: był trochę starszy, może w Twoim wieku. Manewrował ciałem tak, że musiałam się schylić. Chciałam gwałtownie wypuścić powietrze, kiedy utorował sobie drogę do pochwy. Niestrudzenie pracował biodrami, jednocześnie mocno trzymał moją twarz. Uderzał tak, że rozboleł mnie przepełniony pęcherz. Skończyliśmy jednocześnie. Było mi wstyd, że nasikałam komuś na buty. Raczej tylko sobie. Chyba zdążył odskoczyć.

Rachunek już jest zapłacony. Podasz mi płaszcz, na

ulicy obejmiesz. Będziesz mówił za dużo oraz za głośno przez te parę metrów, które dzieli nas od Twojego domu. Kiedy będziesz manipulował w zamku, zobaczę, że Twoje ręce drżą. Powinno mi to schlebić. (Czy innym kobietom to schlebia?). Tuż za progiem pocałujesz mnie tak, jak nigdy byś się nie ośmielił w miejscu publicznym. Nie jesteś mężczyzną odważnym. Jesteś miękki i delikatny - to dlatego pozwoliłam Ci się poderwać na imprezie zorganizowanej przez Twojego brata. Udam, że nie dostrzegam, jak macasz kieszeń dzinsów, sprawdzając, czy prezerwatywy tkwią na miejscu. Zdyszani, znajdziemy się u Ciebie, to Ty nie będziesz chciał zapalać światła. Dość!

Nie, jeszcze nie. Jeszcze spróbuję. Będę robić wszystko tak, jak należy. Rozsunę nogi, aż poczuję ból w ścięgnach, kiedy będziesz mnie pieścił na wąskim łóżku.

„Nie mogę wejść. Nie mogę wejść w ciebie” - powiesz, kiedy Twój gorący penis będzie dobijał się trochę bezwładnie. Pomyślisz, że to Twoja wina. Wybacz, że Ci nie przebaczę za tamtego. Wybacz, że Ci nie wyjaśnię. Słowo „gwałt”, rujnujące myśli, nie przejdzie przez usta. Zostawię Cię nieszczęśliwego i oblanego potem. Na ulicy zapnę płaszcz; od czasu, kiedy szliśmy po niej ostatnio, zdążyło się rozpadać.

## SAMOTNA

Nie chodzi o to, że cię nienawidzę. Nienawiść to już jakieś uczucie, a ja nie czuję nic. Z wyjątkiem tego: NIE CHCĘ!

Raz już byłam u lekarza. Teraz będzie drugi raz - dopiero drugi i od razu z takim zamiarem. Z zamiarem odzyskania samej siebie!

Ten pierwszy raz nie dotyczył mnie osobiście: towarzyszyłam po prostu swojej przyjaciółce od serca. „Przyjaciółki od serca” - tak się wtedy nazywało bliski związek dwóch heteroseksualnych dziewcząt. W rzeczywistości

byłyśmy raczej „przyjaciółkami od płci”. Rozmawiałyśmy o tym, co dzieje się w nas, w środku: jakie podpaski kupić i czy tampon kaleczy. Intrygowało nas, jak będziemy kiedyś „obciągać”! Czy to jest świństwo? Czy to podobne jest trochę do ssania lizaka? Chyba tak, skoro dla dorosłych produkuje się te wszystkie prezerwatywy o smaku bananów albo truskawek. Zastanawiałyśmy się też, czy, w odpowiednim czasie, każda spotka mężczyznę, który ją tego wszystkiego nauczy, i czy ten mężczyzna nie porani jej za bardzo - tu, w sercu.

W każdym razie tamtego dnia umówiłam się z przyjaciółką na przystanku nieopodal naszych domów. Kiedy szłam, widziałam dziewczynkę już z daleka. Czekwała. Miała na sobie czarny golf. Idiotyczną czerwoną spódniczkę

77

w szkocką kratę - widać było, że już z niej wyrosła. Kiecka marszczyła się na biodrach, ugiwała na czarnych, grubych rajstopach. Nie wierzyłam w to, co widzę. W dodatku u niej - przyjaciółki, o której wiedziałam wszystko. Na przykład to, że chodzi tylko w spodniach. Podeszłam i ustami złożonymi w ciup pocałowałam towarzyszkę w policzek. Drgnęła. Zaraz przyjechał autobus.

Wysiadłyśmy przed budynkiem wyglądającym na ogromny przedwojenny szpital. Miał podjazd, okna z dębowymi okiennicami, ciężkie drzwi. Wewnątrz śmierdziało talkiem i lizolem. Oraz czymś jeszcze: kurzem, który jest złuszczonej naskórki albo czymś równie metafizycznym. Od końca wojny była tu przychodnia, nie podejmowano się opieki ambulatoryjnej. Ludzie - głównie starcy i dzieci o skurczonych twarzach - siedzieli na białych, skrzypiących krzesłach. Poruszali się jak ptaki umazane w ropie. Byli skłonni odwdziżyć się za odrobinę zainteresowania. Olejna farba na oparciach mebli zaschła w białe grudy niczym parafina ze świecy. Przyjaciółka stuknęła mnie w plecy i kazała iść w górę szerokimi,

marmurowymi schodami. Na pierwszym piętrze zaczynał się inny świat - poradnia K. Zmienił się zapach - pachniało ziemią. I metalem. Metalem przede wszystkim. Weszliśmy do poczekalni - dwa miejsca były wolne. Bałam się usiąść. Pacjentki - zwyczajne kobiety w kretonowych sukienkach - patrzyły na nas. Niektóre miały tłuste włosy i nierówno nałożone szminki. Inne - twarze pozbawione tożsamości, niczym niedopieczone bułki. Szczególnie te w zaawansowanej ciąży. Nigdy wcześniej nie przypuszczałam, że brzemienny brzuch może być taki wielki. Nogi, które go utrzymywały, nie przypominały już nawet kamiennych kolumn - były to bryły z drożdżowego, przerosniętego ciasta. Zmiany pigmentacyjne na policzkach, rozszerzone żyły na łydkach i grzbietach dłoni. Obserwowałam to wszystko w niemym zdumieniu. Niektóre z kobiet uśmiechnęły się do nas. Wyglądało to tak, jakby mówiły: „Jesteście dziewczynki na swoim miejscu. Niedługo i na was przyjdzie pora. Nic się nie może zmarnować!”. Wiedziałam, że one wszystkie, by być w ciąży, musiały się kochać, ale nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Niczego związanego z seksem.

Dotąd myślałam, że w takich miejscach kobiety rozmawiają ze sobą: o tym, co było, o tym, co ma przyjść, ale te, czekające na swoją kolej - milczały. Chwilę potrwało, nim się zorientowałam, że one śpią. Śpią, choć mają otwarte oczy. W tym ogromnym pokoju panowało wielkie zmęczenie, każdy kilodżul był oszczędzany na ostateczny wysiłek, po którym miał przyjść nowy ból i nieprzespane noce. Czułam, że moja przyjaciółka myśli to samo - że te kobiety to zombi. I że godzi się z tym. Godzi, bo już wtedy - w wieku lat piętnastu czy szesnastu - ponad wszystko chciała mieć dziecko.

Naturalnie, wszystkie kobiety były w spódnicach.

Wszystkie z wyjątkiem jednej. Mnie. Co parę minut zza drzwi gabinetu wychylała się głowa pielęgniarki: „Na-

stępna. Proszę się przygotować". Wywołana budziła się z letargu. Wstawała i szła do „przebieralni”. Przebieralnią nazywano konstrukcję zestawioną z trzech drewnianych ram. Do listewek przymocowano prześcieradła. Przebieralnia zajmowała jedną trzecią poczekalni. Kobieta wchodziła za prymitywną kotarę i szamotała się tam przez chwilę. Przez szparę przy podłodze widać było najpierw buty, a potem bosc stopy. Jedną, drugą. Pacjentka wychodziła, trzymając w rękach zmięte pończochy i majtki. Stała

89

tak, nie wiedząc co ze sobą zrobić (żadna nie ośmieliła się na powrót usiąść), dopóki jej poprzedniczka, pachnąc wazeliną, nie opuściła gabinetu.

Zobaczyłam, że moja przyjaciółka ściska w palcach białe bawełniane majteczki ozdobione kwiatkiem, nad którym widniał napis: „Tuesday”. W tamtych czasach nie wiedziałyśmy nawet, jak to dobrze wymówić.

Drzwi trzasnęły. Pod jej nieobecność zaczęłam się nudzić. Moje oczy wędrowały po ścianach, żeby tylko nie zatrzymywać się na tych zmienionych, rozspanych ciałach. Byłam przerażona i zafascynowana. W tym królestwie żaden poddany nie miał nic do gadania! Wykręciłam szyję tak, by zobaczyć obrazki, które wisiały ponad rzędem zajętych krzesel. Ale zamiast spodziewanych plakatów z napisem: „Nie pal, będziesz matką!” albo tych zawierających wydrukowane grubą czcionką prenatalne zalecenia pokarmowe, zobaczyłam zdjęcia. Przedstawiały płody. Embryony. Zalążki. Zarodki. Nienarodzone dzieci. Wszystkie były utrzymane w tonacjach czerwieni czy tak uwielbianego przez dziewczynki różu, błękitu i fioleto (nieosiągalnych dla filmów marki ORWO). Płody ssały na nich ledwie ukształtowane kciuki. Uśmiechały się tajemniczo twarzami staruszków. O czym tam dumały pod przerośniętymi powiekami? Unosiły się w pęcherzach płodowych jak przybysze z kosmosu. Upragnieni Marsjanie,

którzy mogą nas wybawić od beznadziei albo zniszczyć - co przecież jest jednym i tym samym: zmianą kontekstu. Dopiero sporo później dowiedziałam się, że fotografie te są nienaukowym nadużyciem. Że wiele z tych embrionów sfotografowano, kiedy były martwe. Że w macicy jest ciemno. A skoro nie ma światła, nie może też być kolorów. Ale to wszystko było potem...

90

I nagle, tam w poradni, zorientowałam się - tknięta przecuciem przyszłości, które czasem ludziom prezentuje los - że to twoje portrety. Na ścianach wisiały same twoje portrety! Byłeś na wszystkich z nich i na żadnym! Z przyjaciółką od serca wróciłyśmy do domów w całkowitym milczeniu, jakby tamte nieme kobiety nas czarowały.

Krew pojawiła się na spodniach od piżamy. Przesiąknęła przez materiał, kiedy wieczorem, po odrobieniu lekcji i umyciu się, oglądałam telewizję. Ojca nie było. Matka, widząc plamę, powiedziała najpierw coś jak: „Och! To już?”. Później uściskała mnie - bardzo się cieszy, że tak zdrowo rosnę. „Teraz możesz zostać mamą jak ja. To dar, którego nie można roztrwonić” - rzekła, wyciągając grube podpaski z szafki pod lustrem w łazience.

Nic z tego nie zrozumiałam.

W końcu rozbolał mnie brzuch i rozplakałam się. Peroid traktowałam jako jeszcze jedno młodzieńcze udręczenie i dobrą wymówkę od zajęć gimnastycznych (do czasu, aż zaczęłam studiować na AWF-ie). Nigdy nic innego.

Dziś. Ja - w taksówce. Muszę wyglądać przekomicznie. Ziemista cera (jakoś nie sprawdziły się ludowe zapewnienia o zdrowym rumieńcu brzemiennej kobiety), krople potu perlą się nad górną wargą, przyciemniając meszek. Mam chustkę na głowie, niczym jakaś Grace Kelly, duże ciemne okulary (pomimo mżawki), szary prochowiec. Pa-



trzę w jeden punkt - smugę na bocznej szybie.

Zabrzmi klakson, a ja zaczynam nerwowo rozglądać się na boki jak przestępczyni albo dziewczyna gangstera,

91

którego niedawno zastrzelono. Taksówkarz - świński ryj, żółte włosy ułożone w kaczy kuper - cwanie gapi się we wsteczne lusterko; patrzy na mnie. Już wiem, że będzie chciał mnie oszukać. Pozwolę mu na to. W ustach mam kwaśny smak - kawa i widmo porannych wymiocin. Jestem słaba - powiedziałabym, że słaba od A do Z. Zimno, zsuwam nogi. Kolano trzaska o kolano pod bezową spódnicą z cienkiej wełenki. Eleganckiej, od kostiumu; idealnej, by wziąć w niej cywilny ślub. idealnej, by podkasać ją na biodra i, pośpiesznie łapiąc obcy oddech w usta, kochać się w bramie z nieznanym; w porze, kiedy swobodnie biegają tylko zdziczałe koty. To jest też idealna spódnica do lekarza - raz, dwa można zsunąć rajstopy. Raz, dwa włożyć nogi w te okropne strzemiona - tak jednak, jakby się było rozpruwana kłaczą, nie jeżdżcem. Nie Zorro! Raz, dwa drżącą ręką po zabiegu obciągnąć tkaninę, wygładzić fałdki, zapiąć zamek. Przepchnąć kościany guzik przez elastyczną dziurkę. Zastanawiam się, czy na miejscu dostanę papierowy fartuch - żeby się nie pobrudzić; żeby skromnie zakryć piersi, które ostatnio są jakieś takie za duże. Jakby należały do innej kobiety, którą ja przecież nie będę. Ja - kędzierzawa blondynka, o umięśnionym ciele, metr siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Posiadaczka najpiękniejszych sutek pod tą szerokością geograficzną. Rudych włosków porastających podbrzusze oraz - niczym mech albo kredka przedszkolaka, która wyszła za linię malowanki - obrastających uda. Ogołą mnie przed zabiegiem czy robią tak tylko przy porodzie? Raczej to drugie. Teraz nie będzie czasu na takie certolenie. „To” musi się odbyć szybko.

Ciągle czuję kaczidółka.

To to mi powiedziało, że jestem w ciąży - najpierw ten zapach; dopiero potem dwie ciągłe linie na teście.

Wiem, że kiedy byłam dziewczynką, najbardziej z dobroć lubiłam oglądać Pszczółkę Maję. Nie potrafię jednak przypomnieć sobie tamtego dziecka sprzed lat; co innego ty... Mogę to sobie wyobrazić. Mogę wyobrazić sobie ciebie dużego. Fizycznie będziesz podobny do ojca: będziesz miałgo zadarty nos i niebieskie oczy zajmujące połowę twarzy. Temperament, upodobania, inteligencję - to weźmiesz ode mnie. Przy okazji jakiejś powtórki obejrzysz Pszczółkę Maję. Spóźnię się na to wielkie wydarzenie - może będę w pracy, może z mężczyzną. W każdym razie usłyszysz, że rzuciłam klucze, i zobaczysz, że weszłam do pokoju. W odpowiedzi klepniesz miejsce na kanapie, tuż obok siebie, i powiesz: „Usiądź obok mnie, mamó. Uciekło ci najlepsze, ale...”. Wtedy może zanucę: „Gdzieś jest, lecz nie wiadomo gdzie, świat, w którym baśń ta dzieje się”. I wróci do mnie obrazek z czołówki bajki: pszczołka Maja, która nocą siedzi na liściu, a ciężka łza w zwolnionym tempie spływa jej z kącika oka. I tak wciąż płacze od nowa - przy obcych dzieciach, przy świetle namalowanego, okrągłego księżyca. „Tę pszczołkę, którą tu widzicie, zowią Mają. Wszyscy Maję znają i kochają”.

Przy narodzeniu Mai nie było ojca. O własnych siłach wyłoniła się z matecznika. Nie ma w tym nic dziwnego - unasiennione pszczoły miodne pod koniec każdego lata wyrzucają z ula trutnie, by te umarły z głodu. Wszystkie, co dojednego.

Twój ojciec... Nie masz taty - urodzisz się czy nie. Zaczęłaś się w moim wnętrzu, z mojej woli. Tylko mojej!

(Nigdy nie było mi potrzeba do opisywania czegokolwiek aż tylu zaimków osobowych). Jestem łaskawa. Mogłabym

wrobić mężczyznę w nie jego dziecko, bo tak naprawdę jesteś tylko mój. Kazać mu płacić pieniądze; zmuszać do miłości, a w razie gdyby odmówił, wtrącić go do więzienia. Och, tak. Tak smakuje zemsta porzuconych. Słodko-gorzko (raczej gorzko), upieczona z artykułu 209 kodeksu karnego: „Kto uporczywie uchyla się od wykonania ciężkiego na nim z mocy ustawy lub orzeczenia sądowego obowiązku opieki poprzez niełożenie na utrzymanie osoby najbliższej lub innej osoby i przez to narażają na niemożność zaspokojenia podstawowych potrzeb życiowych, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2”. Mężczyzna, którego okradłam z nasienia, porzuciłby mnie. Może nie od razu.

Najpierw, kierowany naciskami obu rodzin (bo przecież mamy rodziny), ożeniłby się ze mną, a potem, kiedy by zrozumiał, że nie można bezkarnie robić czegoś przeciwko sobie (chyba że jest się samobójcą), odszedłby. Mało tego, że rozwiódłby się, to jeszcze opuściłby wszystko, co sobie sam pieczołowicie stworzył w tym mieście i znikł w głębi kraju. Nie kocham go. Nie jestem pewna, czy on kiedykolwiek mnie kochał. Raczej nie. W pewnym wieku w człowieku tak narasta balast pożądania i potrzeby przynależenia do kogoś oraz zwyczajna towarzyskość, że zrzuca to wszystko na pierwszą lepszą osobę, którą spotyka. I vice versa. Oczywiście, gdybym pozwoliła ci dożyć dwunastu chłopięcych lat, to nigdy bym tego nie opowiedziała. Nie powiedziała tak... Byłoby, że on kochał mnie, ja jego - nie. I dalej do rymu: kiedy zabrałam ciebie i odeszłam, próbował się zabić, bo byłeś dla niego najważniejszy. Byłeś drogocenną perłą.

Zmyśliłabym: „Był album pełen zdjęć niemowlęcia i młodego mężczyzny, który trzyma cię w silnych, nagich ramionach i radośnie śmieje się do obiektywu, ale go ukradziono”.

Zamykałabym ci usta dłonią, gdybyś pytał: „Dlaczego

tatuś mnie nie chce znać?". Moje biedne maleństwo! Dopilnowałabym, żeby za tym mężczyzną, którego okradłam, poszedł list gończy jak za mordercą czy za złodziejem. Dopilnowałabym, żeby na każdym sądowym dokumencie było twoje imię i nazwisko jako pokrzywdzonego. Jego nazwisko, bo miałbyś nazwisko ojca biologicznego. Chciałabym urealnić bajkę o szczęśliwym małżeństwie i o ukochanym syneczku...; choć cała ta sprawa rozgrywa się pomiędzy mną a tobą. Nie ma nikogo innego. Wkrótce nie będzie nawet ciebie. Chyba że pozostaniesz jak cień w mojej myśli, przed czym przestrzegają ci, którzy próbują zmusić kobiety do rodzenia. Co złego jest we wspomnieniu? Co gorszego od ciała? Myśl jest kreatorką wszechświata, nawet depresyjna. Ciało, by było godne, trzeba zamknąć w hostii, inaczej nadaje się - wcześniej czy później - tylko na aerobik albo oddział onkologiczny. Myślisz, że miesza mi się w głowie? Otóż nie. Jestem po prostu szczerą. Szczerą i nieszczęśliwą -jak myślisz, Paluszku, co jest większym grzechem?

Nazywają je wodnymi dziećmi. Ładnie. Bardzo. To jakby duchy. Mają swoją świątynię w Kamakurze, nieopodal Tokio. Nigdy się nie urodziły. Kobiety, które je nosiły, sztucznie poroniły. Dawno temu japońskie wieśniaczki stawały w lodowatych rzekach, wierząc, że chłód i dreszcze pozwolą im spędzić płód. Miały rację. Nasze babki używały „do tego” chininy i rycyny; albo drutu. Czasem się

95

udawało, czasem - nie. Jeśli tak - zapominały. Dzisiejszej Japonce tradycja nakazuje kupić lub wynająć świątynny posążek, który w jakiś sposób wyobraża stracone dziecko. Kamienny jest „karmiony”, przebierany w kolorowe ciuszki, obdarowywany zabawkami; okadzany.

Miałam dopasowaną diafragmę.

Wróciliśmy z jakiejś imprezy do domu mojej babki, który podnajmowałam. Nie byliśmy nawet zbyt pijani. On

czekał w pokoju, ja poszłam do łazienki. Diafragmy nie miałam w sobie, tylko w torebce. Wyjęłam ją i obejrzałam. Chciałam zarysować paznokciem, ale nie pamiętam, czy mi się to udało. Odłożyłam ją na miejsce - to znaczy do torby. Obmyłam twarz zimną wodą. Pokój. Młody mężczyzna, właściwie jeszcze chłopak (pamiętam, że był tuż przed swoimi dwudziestymi pierwszymi urodzinami) uśmiechnął się do mnie. „I co?” - zapytał. „W porządku” - odpowiedziałam. „Zabezpieczyłaś się?” - on sam nie chciał używać prezerwatywy. Głupiec, oddawał całą władzę w moje ręce.

„Tak”.

Pozwoliłam, aby sięgnął rękami do moich piersi, a potem zrobił to. Zrobił to tam na dole, swoim członkiem. To jeszcze nie wszystko, co chciałam powiedzieć: tamtego wieczora, kiedy odbyliśmy stosunek, wiedziałam, że mam owulację. Wiedziałam, że będę miała Tomcia Paluszka - ciebie...

Byłam samotna. Jestem. Będę?

Za późno się zorientowałam, że twoja obecność tego nie zmieni. I przejął mnie strach. A później pogodziłam się z dawną sobą i chcę do siebie powrócić.

96

Tomciu Paluchu, chcę być wobec ciebie sprawiedliwa. Miałeś być dzieckiem, a nie psychologiczną protezą. Nie sądzę, żeby ktokolwiek to potrafił zrozumieć, chyba że zna ten strach. Że wie, jak to jest bać się samego siebie; możliwości mylić z nakazem, a nakaz z możliwością.

WYBACZ...

W tym miejscu tekst się urywa. Rękopis został znaleziony w taksówce. Zapisane kartki wsunięto między strony nieaktualnego kalendarza.

ALICJA

Kiedy byłam dziewczynką, stawałam przy lustrach - wszystkich, jakie się nawinęły. W domu, w publicznych

toaletach, nawet w tych oszukujących, wyszczuplających lustrach, umieszczanych w damskich przymierzalniach w domach handlowych. Często, żeby do nich dosięgnąć, wspinałam się na palce. Chciałam posiąść świat, który rozciągał się po drugiej stronie odbicia. Zostać, a jednak zniknąć tam. Być, a nie być. Odkryć krainę czarów. Ośmielałam się nawet przytknąć dłonie do lustra i pchać. Wierzyłam, że jeśli uderzę wystarczająco mocno, to tafla ustąpi. Całym ciałem potrafiłam przylgnąć do lustra, a wtedy docierała do mnie prawda, że nie ośmielę się na nic więcej. Muszę znaleźć inną drogę ucieczki. Stąd. Lustra zawsze były lodowate, a ja tak bardzo boję się chłodu. Nie dostałam od ciebie odpowiedzi na ostatniego maila. Przypuszczam, że nie miałeś jeszcze okazji, by go przeczytać. Pomyliłam adres? Staralam się pisać tak dokładnie, więc to chyba jest niemożliwe. Czekam. Liczyłam na gorące lato po okropnej wiosnie, ale chyba się rozczaruję: pada i pada. Cholera jasna! Na wakacjach nie można (oficjalnie) zostawać studentom w akademiku, a ja nie mam dokąd wyjechać. Czekamnie parę tygodni udawania ducha. Coraz bardziej przezroczyta... Coraz bardziej przezroczyta... W zasadzie akademik już opustoszał. Moja współlokatorka jest w trakcie pakowania. Dawno by już wyjechała, gdyby nie półpasiec.

98

Bolące krostki porobiły jej się na brzuchu, plecach, ramionach. To musi być nieznośne dla takiej pięknej kobiety - obiektu studenckiej adoracji i zawiści (po równo). Łyka środki uśmierzające i B compositum. Płacze od rana do nocy. Uważa, że plaga spadła na nią, bo poddała się aborcji. Tłumaczę, że to bzdura. Że uaktywnił się wirus herpes uśpiony w jej kręgach lędźwiowych, odkąd jako dziecko przechodziła ospę wietrzną. Ma mnie za wariatkę. Nie jest w tym myśleniu odosobniona, pokutuje legenda o tym, kim byłam. Kim jestem. Myślę o zabijaniu albo o odzyskaniu własnego życia. Gdy byłam mała, zabiłam rudego

gołębia. Był zmęczony i chyba trochę chory. Nigdy nie zastanawiałam się nad wiadomością, którą niósł. Zaraz był martwy; drobne kości, obciążnięte pierzem w kolorze ochry. Nie dostałam ospy wietrznej ani półpaśca, ani nic. Impreza kończąca rok wyglądała tak samo jak zwykle. Zdołałam się przyzwyczaić do tego smaku rozczarowania; albo tylko tak mi się wydaje. W dodatku mówią ci, że to najlepsze lata. Pęknięte prezerwatywy i rzygowiny. Gdybym miała pieniądze, wyjechałabym do Wenecji. Biedna mysz kościelna. Więc była wódka, kwas w kryształkach (nie tknęłam), seks. Jakaś para kochała się w korytarzu, tak fortunnie, że wszystko odbijało lustro w pokoju. Kiedy kochanka wróciła do nas ochłodzić się słodką herbatą, cukiernica stała po drugiej stronie stołu. Gdy pochyliła się (z jeszcze nabrzmiałymi piersiami), pytając: „Czy ktoś mógłby mi podać?“, inna dziewczyna stwierdziła: „Skoro tak ruszałaś dupą, to sama możesz sobie wziąć“. Czuję się kompletnie nie na miejscu, a jeszcze zaczął się do mnie dobierać jakiś długowłosy pierwszorzecznik. Trudno się było opanować, bo lubię młodszych mężczyzn, ale w końcu oznajmiłam mu, że jestem dziewicą. A on chrapliwie się roześmiał, jakby miał gardło całe wypełnione flegmą. Ładny chłopiec.

Wcześniej jednak: byłam w rektoracie, pytałam, czy można zapisać się na twoje zajęcia w przyszłym semestrze. Sekretarka spojrzała jakoś dziwnie; później zignorowała mnie. Wszyscy o nas wiedzą, prawda?

Wypraszają studentów z akademików, bo na te wakacje przewidziano ocieplanie budynków, remont balkonów.

Nie wyobrażam sobie nic gorszego: styropian we włosach, wrzaski w sercu. Nie! Nie! Nie!

I ja jako duch; nawet dziewczyna z półpaścem wyjechała. Na „do widzenia“ pocałowała w usta, zostawiła kar-net do kina. Nie możesz ciągle tu tkwić!

Ani ojca, który by mi wskazał drogę,

Ani matki, która by o mnie dbała,

Wszystkie troski muszę dźwigać sama.

Nie mam nawet brata, z którym mogłabym się podzielić,

Sama muszę nieść swoje brzemień.

Zjawiskiem absolutnie nie pasującym do osiedla stu-

denckiego był głos trąbki. Jedna fałszywa nuta odbijająca

się echem od szarych bloków, podzielonych na krzywe

norki wystraszonych zwierzaków. Studentów socjologii,

prawa, ekonomii, administracji, których czas nieuchron-

nie się kończył i lada moment (rocznik po roczniku) mieli

rozbijać się o przeszkody prawdziwego życia. Nieunor-

mowanego zapisami arkuszy ocen, terminarzy zaliczeń,

fuksówek albo juwenalijnego chaosu. Trąbka brzmiała jak

róg wzywający na polowanie. Nie wiem, skąd przyszła mi

1 Fragment piosenki Bessie Smith, zacytowanej przez Erikę Jong

w książce

Babski blues, tłum. Tomasz Bieroń, Zysk i S-ka, Poznań 2004.

do głowy wizja grającego kloszarda jak ze spleśniałej

powieści Saganki. Powinnam była wiedzieć, że to ryk,

albo jęk. Tępe dmuchanie w tubę. Rozpraszający hałas

i gówno. Wyszłam na poszukiwania niczym jakiś nieska-

lany naiwny Parsifal, ale zamiast na Świętego Graala na-

tknęłam się na niedorozwinięte dziecko, które urwało się

z osiedla obok i dmuchało w obtłuczoną odpustową za-

bawkę. Jego matka może mieć wreszcie czas dla siebie!

W pierwszej chwili pomyślałam, że potworek, prężący

się przede mną, jest wyskrobkiem współlokatorki.

Obrzydliwie zaśliniona, wykrzywiona twarz - twarz nie

z nosem jak guzik, lecz z otworem gębowym wielkim jak

paszcza szczupaka, tyle że bezzębna. Tra ta ta ta! Nie

większy niż rachityczny siedmiolatek, mógł być moim

rówieśnikiem. Poczułam, że w jakimś pierwotnym odru-

chu podnoszą się włosy na karku, wrzask narasta w gar-

dle. Agresja i nienawiść przechodzą pomiędzy nami jak

prąd pomiędzy dwiema z furią namagnesowanymi me-



talowymi płytkami. Tra ta ta ta! Gnom biegł kawałek za mną, bez opamiętania dmąc w trąbę, aż zrobiło mi się szaro przed oczami. Przebiegł drogę, wyjął ze spodenek ptaka, jakiego nie powstydzilby się żaden dorosły mężczyzna (ty byłbyś zazdrosny), zaczął szarpać go, ścisnąć, aż myślałam, że krwawy ochłap zostanie mu w kwadratowej dłoni.

Powinni byli cię zamknąć! Powinni byli cię wsadzić do pudła!

Szłam boso, owinięta tylko w ręcznik - niebywała odwaga. Marzyłam o krótkim, jasnym kimonie we fioletowe kwiaty irysów, ale dotąd nie dane mi go było mieć.

„A w ogóle, jak człowiek zacznie tylko o czymś marzyć,  
101

to nieuchronnie doznaje rozczarowania"2 - to zdanie podkreśliła pewna głupia krowa w swoim egzemplarzu Szklanego klosza Plath, który jej ukradłam z racji tego, że wydawał mi się bardziej potrzebny mnie niż jej. Kompletnie opustoszały akademik sprawiał oszałamiające wrażenie. Patrzyłam na szare ściany, na własne zsiniałe od chłodu i brudu palce, odcinające się od zielonego linoleum. Czułam się jak na dnie publicznego basenu. Wszłam do łazienki - ogromnej. Nie było tu pojedynczych kabin, lecz tylko rząd główek prysznicowych wiszących na ścianie. Małe wystające murki obłożone popękkanymi białymi kafelkami. Na suficie - ślady po wielu ramach, z których kiedyś zwieszały się plastikowe zasłonki. Istna Łaźnia turecka Ingres'a. Miejsce rozkoszy i kaźni. Nieustających porównań. Widziałam tu dziewczynę, która miała na swojej cipce coś na kształt rudego irokeza. Zrzuciłam ręcznik, odkręciłam wodę, po kolei wszystkie krany.

Deszcz. Szum.

Ulga. Spokój. Niewinność. Któraś zostawiła kawałek mydła, więc wzięłam je, przyzwoicie się natarłam. Robiłam to, patrząc na rozstępy, które przecinały kolana, ukła-

dały się w grube, srebrne pasy na biodrach jak górskie potoki na satelitarnych zdjęciach - mapa dojrzewania. Skóra nie wytrzymała i pękła - nikt mi nie powiedział, że coś takiego jest możliwe, kiedy ma się dwanaście, trzynaście lat; gdy się intensywnie rośnie. Urodziłam samą siebie: kobietę. Byłam matką. Bo jak inaczej to wytłumaczyć? To barbarzyńskie okaleczenie, które zwykle przytrafia się dziewczynom przy pierwszej ciąży. Nie miałam dziecka, a tu... proszę!

2 Sylwia Plath, Szklany klosz, tłum. Mira Michałowska, Książka i Wiedza, Warszawa 1989.

Stojąc pośród oblepiającej wewnątrz ust, nosa, a może nawet płuc, pary, namydliłam włosy. I właśnie wtedy, kiedy cała byłam obtoczona mydłem, gorąca woda się skończyła. Stałam pod lodowatym strumieniem, na dnie publicznego basenu, a mydliny zamieniały się w galaretę. Ścinały się i zamarzały.

Obudzili mnie młodzi mężczyźni. Cała grupa, we wczesny poranek poprzedzony długim błękitnym świtem obiecującym za wiele. Co za kara! Sądziłam, że wracają z jakiejś imprezy, która się przedłużyła. Hałaśliwi i zadowoleni. Jednak głosy nie cichły, nie oddalały się; natrętnie wypełniały przestrzeń pod moim oknem, wdzierały się do pokoju. To robotnicy - dotarło do mnie, nim jeszcze zaczęli rozstawiać rusztowania. I stało się. Jakiś facet utyłany w gipsie (tacy weszli w koszmary senne) roześmiał się całe piętra niżej. Śmiech miał charkoczący i obrzydliwy, jakby nosił w gardle jakiś aparat. Zardzewiały, stary, nieforemny. Pomyślałam: niech oni robią wszystko, tylko się, kurwa, nie śmieją!

Sama. Pokój w akademiku wydał mi się jeszcze bardziej odstręczający niż wtedy, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy. Ściany, z których czas starł kolor, bure linoleum na podłodze. Metalowe krzesła z ceratą zamiast materiało-

wego obicia. Rozchwiany stolik - on i krzesła - jakby ukradziony ze szpitala. Sama. Leżałam na łóżku pozbawionym pościeli, z piętami, których nie dałam rady wcisnąć pod pośladki. Czułam, że się pocę, w środku tego smutnego, dziwnego lata. Sama. Zaraz jak się wprowadziłam, podczas odkurzenia, znalazłam za łóżkiem zagubiony czerwony, dziecięcy bucik.

Nie sądziłam, żeby para studentów-rodziców była jeszcze ze sobą. Sama. Gdybym leżała w czarnej koszulce, koronkowych majtkach i pończochach, mogłabym sobie wyobrazić, że to jakiś obskurny hotel na godziny, a ja czekam na kochanka. Poszarpane bawełniane figi, podkoszulek w sprane kwiaty odbierały tym marzeniom wszelką nadzieję. Sama. Myślałam o tym, że rusztowanie wznosiło się coraz wyżej - niby jakiś gigantyczny krzak zielonego groszku. W oknach nie miałam opuszczonych żaluzji - w końcu jakiś robotnik podejrzy mnie, a później szeptem zawoła kolegów. Sama. Albo nie zrobi tego, tylko pchnie ledwie trzymające się na haczyku okno i wejdzie do mnie. Wejdzie we mnie. Sama. Przychodzi mi na myśl scenariusz niemieckiego filmu porno. Sama.

Przypomniały mi się te wszystkie uwięzione kobiety: Rapunzel, której tylko warkocz znał wolność, Joanna Szalona w Tordesillas, oszalała, zatrzaśnięta na poddaszu Bertha Mason z Dziwnych losów Jane Eyre Charlotte Bronte, księżniczki uwięzione na szczytach szklanych gór, zamurowane westalki... I postanowiłam wyjść.

Co za idiotyzm. Brawurowo skorzystałam z karnetu do kina. Film Sylwia o Sylwii Plath dopełnił nieszczęścia. Na sali pełno bab: tych zdradzanych, urojonych samobójczyń, „pisarek” gryzmołujących coś wieczorami w szkolnych zeszytach w kratkę (zawsze pierwszy rozdział). Po piętnastu minutach zrobiło mi się niedobrze, że o mało co nie uciekłam. Czułam się, jakby ktoś mnie utytłwał w błocie. Jakby sztuczne kolory filmu, niby ze starej hollywo-

odzkiej produkcji, wpływały porami skóry prosto w moje żyły, zapychały je nieszczęściem jak złym cholesterolem. Uwielbiałam niegdyś Plath; film Christie Jeffs był niezły, ale to, co działo się przy okazji... To było to twoje SIC! Światło się zapaliło, ale żadna się nie ruszyła. Dopiero kiedy do sali zaczęli się napraszać ci, co przyszli na inny seans. Boże, nie chcę być taka żalosna jak te kobiety: pachnące potem i solą. Jedna, szczególnie nieforemna, głośno płakała, smarząc w jednorazowe chusteczki i gniotąc je. Oślizgłe, papierowe róże. Białe jak na ślub, białe jak na grób. Ubrana była w podkoszulkę, pomarańczową jak kamizelki robotników pracujących na torach, a pod bawełną wyraźnie rysowały się piersi. I to jakie! Piersi wałki, piersi rury, piersi witające się z brzuchem.

Zostawiłam przypadkowe towarzystwo, biegiem rzuciłam się przed siebie. Musiałam upaść; pomimo odwyku wciąż byłam słaba i niezdarna. Ciebie prawdziwej osoby. Osoba w zaniku. Pot i sól.

Kim jest, o północy na drodze A 30,

Ta drutdyczna dusza,

Ta nocna błyskawica, ten niespodziewany bezkształtny chochlik,

Który wali twoje auto w podbrzusze,

A potem krzyczy z bólu jak człowiek

I zmienia się w małe dziecko leżące na drodze,

Które ledwie odważasz się podnieść?!

Poddałam się. Nawet ćpanie było lepsze od tego. Czulałam się jak ludzik z tektury, który w wyniku jakiejś potwornej pomyłki potrafi krwawić. Na chodnik, na dzins.

Z rozciętych kolan sterczały pazury szkła.

Och, och, moje ostatnie porządne spodnie - stracone!

Było mnie na nie stać tylko dlatego, że - za długie i za

3 Erica Wagner, Sylwia Plath i Ted Hughes, tłum. Tomasz Kunz,

Wydawnictwo

Literackie, Kraków 2004.

szczupłe na przeciętną klientkę - znalazły się na wyprze-

daży. Kupiłam i udawałam, że podoba mi się podwijanie nogawek. Całe stypendium szło mi wtedy na towar...

A teraz? Popatrzyłam na dziury na kolanach i zalała mnie fala wstydu. Pomyśleć, że kiedy jeszcze było między nami dobrze, chciałeś mi kupować ubrania, a ja się broniłam. Powinnam kazać ci płacić za używanie mojej młodości, bo ona jest jednorazowa, przez co jest najcenniejszym darem od Boga dla mnie.

Moje kolana płakały. Przystanęła nade mną para starszków: on lepiej się trzymał. Jeszcze wysoki, jeszcze wyprostowany, choć w brązowym garniturze z lat siedemdziesiątych, przesiąkniętym zapachem kulek na mole, które ona - tłusciutka i z niezdrowym rumieńcem na twarzy, biegnącym od chorego serca - troskliwie od trzydziestu lat układała w szafie.

Para, małżeństwo, miłość, nabożni kochankowie - traktowali się z delikatnością i wdziękiem porcelanowych naczyń, których dni były policzone. A kiedy mi cię zabraknie... Rzucili na moje zdarte tenisówki pięć złotych. Moje oczy zaczęły płakać jak kolana; miałam je sobie ochotę wydrapać.

Na przystanku: narkoman bił głową o mur starej łaźni, teraz hotelu na godziny (Syrenka) i krzyczał: „Jezus Maria!”. Ani Jezusa, ani Marii. W nowym autobusie siedział skulony ćpun z bezmyślną twarzą, tylko jego ramiona podrygiwały niekontrolowanie jak jakieś zwierzątko. Bałam się.

Wolne było miejsce tylko pośrodku autobusu. Usiadłam, intensywnie patrzyłam w szybę, tak by przekonać innych, że nie ma ani moich pokaleczonych kolan, ani mnie. Nie istniejemy.

Widziałam odbite plamy światła, ale nic poza tym.

Udało się! Boże, dopomóż, nie chcę, żeby ludzie myśleli, że jestem kolejną ofiarą zmiażdżoną przez olbrzymia nazywanego życiem.

Wspólny spacer, a może raczej wędrówka z/do hotelu. W każdym razie po drodze otarła się o nas żebraczka. Mi-  
nąłeś ją, jakby była czystym powietrzem, bez wagi ani  
nawet bez zapachu (choć ona oczywiście śmierdziała). Ja  
zostałam. Przyglądałeś się nam obu ze zdumieniem.  
Dałam żebraczce parę papierosów z paczki, pieniędzy -  
nie. Pieniądze były mi bardzo potrzebne. Ustawiliśmy się  
obie przed budką z fast foodami, więc kazałam usiąść  
zniszczonej ćpuncie na plastikowym krześle i czekać, aż  
obsługa wywoła ją po hot doga. Ona przez cały czas mó-  
wiła - o tym, że ma trzydzieści dwa lata, córkę, za trzy dni  
jedzie do Ameryki. Puszczalam to gadanie mimo uszu.  
Unikałam jej wzroku, choć nachalnie próbowała zaglądać  
w moją twarz; zamiast oczu miała lustro. Nosila postrzę-  
pioną chustkę na łysej głowie. Jej ręce były spalone słoń-  
cem, skóra marszczyła się na nich, łuszczyła i przez chwilę  
pomyślałam, że może jest trędowata. Przypomniałam  
sprzedawczyni o hot dogu, wróciłam do ciebie. „Po jakie  
licho to zrobiłaś?”. Nie mogłam odpowiedzieć. Jeszcze nie.  
Nie tobie. Nie na pół godziny przed tym, jak miałeś mnie  
pieprzyć (właśnie sobie przypomniałam: szliśmy do ho-  
telu).

Żebraczka dogoniła nas. Chciała jeszcze. Jeszcze fajek.  
Jeszcze żarcia. Pieniądzy. Dotknęła mnie kostropatą łapą.  
A jeśli to się przenosi - te plamy, strupy - z palców na  
107

palec? Tuliłam się do ciebie. Stałeś, jakbyś kij połknął.  
Wyrwałam do przodu, z każdym moim przekleństwem  
żebraczka odsuwała się o krok: „Kurwa, bladź, dziwka,  
pipa, gnida, szmata, wywłoka”. Zrobiło się małe zgroma-  
dzenie, ale ona w końcu sobie poszła. Tarłeś moje ra-  
miona, tak jakbyś uspokajał narowistego konia albo  
dzikiego psa.

LUSTRA W OCZACH.

Paliłam mentolowe papierosy, żułam dropsy, by ukryć

kwaśny smak, jadowity zapach wymiocin, które wylatywały ze mnie po każdym tete-a-tete z braunem. W hotelu macałś moje pośladki, by się podniecić, zaśliniony palec wślizgiwał się w odbył, a ja modliłam się cicho: byś nie wy-czuł zasklepionego heroinowego gówna, którego nie mogłam z siebie wydalić.

Przez żaluzję wpadał pojedynczy promień słońca. Wyszunęłam palec i zaczęłam po nim gładzić. Skóra rozświe-tlała się, wyglądała jak zdrowa skóra młodej dziewczyny. Bładoróżowa. Poczulałam przyjemność, a potem powie-działam sobie: dość, żeby zbytnio się nie rozpieszcząć. Jeszcze przez chwilę syciłam oczy tą ukośną, błyszczącą lancą, która przespiliła pokój, jakby był smokiem. Leżałam i próbowałam liczyć, by zasnąć. Chciałam spać i w dzień, i w nocy. Jak ludzie zamknięci w więzieniach. Liczby plątały się, uciekały. Otworzyłam okno, deszcz przestał padać - wyjątkowo gorący dzień. Nagle coś roz-wierało jazgotem głowę na pół, a na ciało spadł śnieg ze styropianu. Pomyślałam, że skoro tak, skoro to śnieg, to zaraz usnę i zamarznię.

108

Zbili szybę. Aluminiowa żaluzja częściowo podjechała do góry jak kusa sukienka, z drugiej strony rozpadła się na srebrzyste płatki, niczym zgnieciony wachlarz. Mój Boże! Otworzyłam oczy, a tu jakiś młody mężczyzna stał na rusztowaniu, którym obrosło okno, i gapił się na mnie. Zamarłam na łóżku niczym zajęć schwyłany nocą w światła samochodu. Tyle że był dzień. Robotnik nie wyglądał na złego, tylko na głupiego. Wokół ust rozła-ził mu się trądzik. Pomyślałam, że ten chłopak doniesie i mnie stąd wyrzucą. Albo skrzyknie kolegów, by tak mnie sobie oglądali jak małpę w zoo. Zawierzyłam sobie i po-standowiłam, że go czymś przekupię. Czymś, co przynaj-mniej na jakiś czas będzie chciał pozostawić tylko dla siebie. Przygodę, w którą nie uwierzy majster i starsi robotnicy,

z których życie zmieszane z tanim piwem wycisnęło wszystkie soki. Moczopędna egzystencja. Ściągnęłam bawełniane majtki, wprasowany w ich przód różowy kwiatek zdążył w kolejnej kąpieli zgubić większość płatków. Rozsunęłam nogi. Podsunęłam jasek pod pośladki, by to obnażenie, bezwstyd, łapówka były pełne. Wargi chłopca przestały szeptać: „Nie powinno cię tu być”, za to ułożyły się w zdumione „o”. Kolor krost przybrał na intensywności. Zaczęłam robić to, czego ty ode mnie żądałeś. Na co tak lubiłeś patrzeć. Wtedy i mnie to sprawiało przyjemność, perwersyjnie połączoną ze wstydem. Widać popadłam w rutynę, bo kiedy mój palec zagłębiał się we wnętrzu, to bez przerwy myślałam o dwóch rzeczach: jak to dobrze, że nie mam okresu, oraz -jak szybko muszę wspiąć się na górne piętro, gdzie nie ma jeszcze rusztowania?

109

Ukradłam klucz na strych, do pomieszczenia, gdzie studenci przychodzą i suszą swoje ubrania. Drzwi z dykty, z zamkiem yale. Pusty pokój, otynkowane nierówno ściany; od jednej do drugiej przebiegały rzędy sznurków, zamieniając pomieszczenie w plac zabaw dla linoskoczków. Z zapchanego komina leciała sadza, wokół niedomkniętych okien pełno było ptasich odchodów. Gołębie często wlatywały tu i zostawały. Siedziały na parapecie; śledził mnie szereg ich ślepek podobnych do oczu świątecznych ryb. Stwierdziłam, że rusztowanie nie dojdzie tak wysoko - do suszarni, postanowiłam więc zostać w tym bezpiecznym miejscu. Drzwi obok była pralnia ze starą wanną, w której mogłabym spać, gdybym tylko miała ochotę. Przy każdym kroku z ziemi unosiły się kotki kurzu i wirowały w powietrzu. Tu zostaję. Tak, tu zostaję. Wygodnie rozsiadłam się pod jedną ze ścian. W kącie leżał zmięty kawałek gazety, wystarczyło wyciągnąć palce...



„Niedawno odkryłam, że mojego syna interesują mężczyźni oraz że ma upodobanie do strojów kobiecych. W szczerzej rozmowie ze mną wyznał, iż te skłonności ma od czasu uczęszczania do technikum. Jestem zrozpaczona, trudno mi zaakceptować ten fakt. Po cichu marzyłam o synowej, która urodzi mu kiedyś dzieci, moje wnuki. A teraz patrzę z przerażeniem, jak mój syn przebiera się w kobiece stroje. Czuję się oszukana i zdradzona...1'4. Cóż, lepiej nie mogłam trafić.

Nagle znalazłam się we wnętrzu własnej głowy. Wysoki biały pokoik, z szybą zamiast jednej ściany, za którą poruszał się cały świat. I mogłam swobodnie oddychać.

4 „Naj”, nr 32-33/2004 (list od czytelniczki do rubryki Rady dla ciebie).

110

I swobodnie myśleć. Moja dusza z wysoka spoglądała na mnie: skoncentrowaną, wyciszoną. Pewną siebie.

To miał być wspaniały poranek. Pożyczyłeś klucze do mieszkania kolegi, który na jeden dzień wyjeżdżał na naukową konferencję. Spędziliśmy wieczór i noc, w tych pokojach pełnych śladów, zapachów innego człowieka. Nie mogłam doczekać się poranka. Co za gratka obudzić się u boku mężczyzny, którego prawdopodobnie się kocha. Co za gratka! Co za udomowienie. Normalność z reklamy kawy.

Obudził mnie chłód, poczułam go, kiedy ze mnie nagiej zsunął kołdrę. To znaczy nie do końca obudził - jeszcze trwałam w sennym otumanieniu. Jeszcze wciskałam twarz w poduszkę. Jeszcze pięć minetek i wstanę do szkoły.

Sprawdziłeś palcem suchy srom, ciało śpiącej królowny obracałeś jak plastikową chudą lalkę. To w tę, to we w tę. Udało mi się nie otworzyć oczu. Nie pokazać twarzy. Szelist rozrywanego celofanu z prezerwatywą. Czy nie do takiego seksu byłam stworzona? Wbiłeś się tępo pomiędzy

nogi. Pieczenie. Byłam cipą. Jedna noga na twoim udzie, drugą wysoko podniosłeś i pracowałeś nią, jakby była uchwytem od ulicznej pompy. Kadłub odkręcony, twarz w poduszce, figura niemożliwa. Różałeś trupa, a nawet tego nie zauważyłeś.

Wysunąłeś się, przyciskając koniec prezerwatywy, musnąłeś paznokciem srom. Wreszcie zareagował.

Wstałeś. Chciałam zniknąć. Pograżałam się i wychylałam ze snu, jak głowa rozbitka niesiona przez fale.

W końcu też wstałam, trzeba było iść sobie stąd, by oddać klucz.

Rozhisteryzowałam się, sama nie wiem dlaczego. Powiedziałeś, że po raz pierwszy i ostatni odwiedziłeś mnie w akademiku. Czułam, że głowa zaraz mi eksploduje. Dałeś tabletkę nasenną (stilnox), blister nosiłeś w czymś, co wyglądało jak stara papierośnica emaliowana na zielono.

„Zaśniesz!”. Nic z tego. Czułam, że nie jestem już w tej obrzydliwej biało-burej klatce, gdzie powietrze się nie porusza, lecz w wysokiej komnacie wypełnionej złotem.

Światłem. Pod sufitem pływały statki, a ludzie chodzili po plecionych mostach. Jedno nie przeczyło drugiemu... Wyciągnęłam ręce. Nie poszedłeś sobie jeszcze, więc jednak byłeś zaniepokojony: co się ze mną dzieje. „Twarz ci gnije”, powiedziałam.

Czekam. Nie, już nie czekam. Wszyscy jakby na mnie oślepli, a ty najbardziej. Żadnych maili, żadnych dobrych myśli. Siedzę na strychu akademika, niby chory gołąb. Zastanawiam się, kiedy zacznę srać pod siebie. Chciałam obśikać szary beton, który rozciąga się pod moimi stopami jak otchłań, ale nie dałam rady. Jestem taką grzeczną dziewczynką. Zapomnianym T-shirtem, zakurczonym, rdzewiejącym na sznurze. Nikt mnie nie słyszy. Miałam sen o tym, że naprawdę cię kochałam, ale to uczucie niestety przeszło. I najawie też się zrobił z tego fakt. A później drugi sen, było w nim jedno pragnienie: żeby ktoś pomógł mi się

wyrwać ze stanu, w którym się znajduję. Dwa głosy (święta Katarzyna i święta Barbara) powiedziały, że nie przyjdzie nikt. Kiedy byłam bardzo młoda, napisałam opowiadanie o dziewczynie, która czeka na rycerza w srebrnej zbroi, aby zabrał ją w baśniowy świat. Czasem łudzę się, że może to byłeś ty, aja zmarnowałam szansę. Możliwe, że to ostatecznie to prawda. Pierwsze - zupełna bzdura.

Pomyślałam, że gdybym miała dziurkę, trochę nad pępek, to mogłabym przez nią oddychać. Dyskretnie. Głęboko. Byłabym nasycona tlenem, dla postronnych - martwa. Niegroźna. Czuć się groźną w moim stanie, cóż za bezwstyd! Ani muzyka płynąca z słuchawek walkmana, ani natrętne myśli nie tłumili hałasu wiertła i młotków oraz celowo najgłośniejsz jak się dało stawianych na rusztowaniach wiader z klejem. Nie było gruchania gołębi - wystraszone, odleciały.

Marzyłam, żeby rusztowanie się rozpadło jak bierki układane na parapecie w kolonijnym pociągu. Marzyłam, żeby były ofiary w ludziach. Dostałam okres. Co za pech! Gdyby było inaczej, mogłabym cię zrobić, nigdy byś mi się już nie wymknął. Zamiast śladu w przeszłości, zabrałabym twoją przyszłość. Ojciec. Nigdy byś już się nas nie pozbył. Nas, bo podzieliłabym się na dwoje. Moja miłość, moja nienawiść oraz moje odrzucenie. Żadnych maili!

Dostałam okres; nim się zorientowałam, wyrwałam z siebie tampon. Pociągnęłam nim po ścianie. Watę podarłam na strzępki: czerwone, różowe, białe. Kolory, jakie nosiłam pod powiekami. Kolory, jakie wydobywało spod powiek światło dnia.

Jedna tabletkę sprawia, że jesteś większy,  
inna sprawia, że jesteś mniejszy,  
a ta, którą daje ci matka,  
nie zmienia niczego.

Idź i spytaj Alicję, gdy będzie mierzyła 3 metry5.

5 Fragment piosenki White Rabbit (1967) zespołu Jefferson  
Airplane, „Forum”

nr 48/2003.

Czas uległ odwróceniu. Nie byłam kobietą. Tors miałam  
gładki i wąski, pomiędzy nogami plastikowa miednica  
lalki. Byłam bezpłciowym dzieckiem. Leżałam i czekałam.  
Bez tożsamości, bez płci, bez oznak jakiegokolwiek wyjąt-  
kowości (żadnych blizn, pieprzyków, tatuaży, dziurek  
w uszach), z pustą rubryką - w nieistniejącym dowodzie -  
na znaki szczególne... Taka, odczuwałam pewną ulgę.  
I czekałam czasu, kiedy rozpadnę się na wyraźnie okre-  
ślone: plemnik i jajo. Tatę i mamę.

Lustro wreszcie było ciepłe. Kawałki kwasu stopniały  
pod językiem. Zgubiłam swoje odbicie, okazało się, że je-  
stem w nim. Pach! Jak w prestidigitatorskiej sztuczce znik-  
nęłyśmy. Pach! Srebrna kulka toczyła się po palcach,  
wyglądała jak rtęć. Upuszczona, rozbijała się na inne,  
a później one dążyły do źródła. Srebrna kulka wielka jak  
moja głowa, spływająca po twarzy. Pach!

A lustro było gorące, jak zakochane piekło.

Zaprowadziłeś mnie na odwyk. Zapłaciłeś za „terapię”  
(nie potrafię napisać słowa „terapia” inaczej, niż w cho-  
lernym cudzysłowie). Powiedziałeś, że w przeciwnym  
razie umrę. Zupełnie jakby nie udawało się umrzeć od in-  
nych rzeczy. Od ciebie. Pielęgniarka i lekarz wzięli cię za  
ojca. Rzecz całkiem normalna, nie tylko dlatego, że jesteś  
mężczyzną pięćdziesięcioletnim, ale - bo traktowałeś  
mnie w ich obecności niby wyrozumiale, niby ciepło.

Gdzie podziała się twoja łózkowa brutalność, którą tak lu-  
biłam; pozbawiająca mnie tożsamości? Twoja życiowa  
bezwzględność? Złośliwość objawiająca się w ostatniej  
chwili, kiedy tamy już puściły, a ty czułeś się zagrożony  
uczuciem, które mogło zaowocować małżeństwem.  
Zamiast wyobrażać sobie mnie jako zagubioną dziew-  
czynkę, widziałeś kolejną żonę. Rozkrzyczaną, rozhiste-

ryzowaną, domagającą się pieniędzy. Chciałam schować głowę, twarz w zagłębieniu twojej pachy. Ojciec: siwe włosy, romantyczna bródka, okulary.

Pielęgniarka powiedziała, że nie będę cierpieć. Że stosujają jako jedyni taką metodę w kraju. Nie uwierzyłam. Ból jest zawsze. Odwykiem próbowano mnie do bólu przywrócić.

Lekarza pamiętam mało co; tylko tę pielęgniarkę z czarnym warkoczem, z fałszywie młodą twarzą. Mogłybyśmy uchodzić za siostry. „Terapii” nie przeprowadza się w szpitalu, akademik był kiepskim miejscem do tego rodzaju przedsięwzięcia, a twoje mieszkanie nie wchodziło w rachubę. Wynająłeś pokój. Trzęśłam się, szczekałam zębami. Przenikliwy zapach ciała. To nie były objawy narkotycznego głodu, tylko strach. Uścisnąłeś mnie krótko, wyszedłeś. Po co ja to zrobiłam? Żeby odzyskać nadzieję. Żeby się przypodobać.

Niektórzy na odwyku płaczą, dostają drgawek, wpadają w paranoję. Czują się tak, jakby pękały im kości, jakby już nigdy nie mogli złapać oddechu. Srają i rzygają.

Przebrałam się w lekką koszulę nocną, położyłam na łóżku - w tym pokoju zalanym słońcem. Odwróciłam głowę od stojaka z kroplówką. Do igieł zdążyłam już się przyzwyczaić.

DORMIKUM, MALOREX. Pielęgniarka powiedziała, że mnie głęboko uśpią, tak że nie poczuję, kiedy będą wyrwali z ciała każdą cząstkę heroiny. Prześpisz ból. Wszystko prześpisz. Chciałabym przespać życie. Przypomniałam sobie to, co wiem o porodach. O tym, że rodzącym zamiast środków uśmierzających podaje się valium. I one zapominają, przez co przechodzą. Ukryte wspomnienia rozdierania, odpruwania, upokorzenia powracają w nerwicach albo koszmarach sennych. Przywiązali mnie do łóżka, żebym nie wyrwała kroplówki. Przecież miało nie boleć? Drgawki, łamanie kości, kupy. Wolisz Monar? Wolisz pa-

miętać? NIE.

„Będę cały czas tu, przy tobie”, zapewniła pielęgniarka, kiedy zapadałam w sen.

Później zmartwychwstałam; było pełno krwi na prześcieradle, bo będąc martwą, dostałam okres - pierwszy od wielu miesięcy. Pielęgniarka umyła mnie, dała tampon. Powiedziałam, że nie chcę. Wróciła z kłębkim waty. „ile spałam? Tyle? W życiu tyle nie spałam!” - zaprotestowałam, ale później uświadomiłam sobie, że to nie był sen, ale śmierć. Zaćpana ilustracja do prawosławnej ikony Zejście do piekła. Tej w chronologii pomiędzy Złożeniem do grobu a Zmartwychwstaniem. Lekarz wszył mi natrexon - dla pewności. „Być albo nie być” - klepnął po ramieniu. Przecież ja chciałam: nie być! I udało mi się - w tym sensie, że oddałam życie w obce ręce. Dusza unosiła się nad ciałem. Pielęgniarka miała zielonego garbusa, spytała, gdzie ma mnie podwieźć? „Mój tata nie przyjedzie?” - spytałam.

Nie przyjedzie, bardzo przeprasza, ale wyskoczyły mu jakieś zajęcia ze studentami - dzwonił. Chciałam zakryć ręką jej usta, ale wyobraziłam sobie, jak różowa perłowa pomadka przykleja się do wnętrza dłoni, tak że jesteśmy „w siostrzanym” uścisku złączone na zawsze. Pokiwałam głową, ale powlokłam się na przystanek. Gdybym została przy niej dłużej, powiedziałabym, że mój ojciec nie jest ojcem, lecz nauczycielem. Że mnie rżnie, ale chyba z tego rżnięcia chce się wycofać. Że zafundował mi prywatny odwyk, bo bał się, że przećpam, kiedy dopadnie mnie kolejne świństwo (świństwo popełnione przezeń); a on będzie miał wyrzuty sumienia do końca życia. Wyrzuty sumienia, które wygonią go z biblioteki, auli wykładowej, łóżka studentki wynajmującej coś na mieście.

Nikt nigdy nie widział cię w akademiku. Za bardzo bałeś się stracić opinię. Opinię „ojca” dla swoich uczennic albo uczniów.

Miały to być juwenalia. „Święto wiosny”, w czasie którego płodzi się studenckie dzieci, a zamiast wina leje się piwo. Piwo zamiast wody. Siedziałam na wysokim krawężniku, a głowa kiwała mi się jak u psa-zabawki, z rodzaju tych ustawianych za tylnymi szybami samochodów. Sądziłam, że nie wiem, co jest prawdą, a co heroinową halucynacją. Miałam ściśnięty żołądek, palce zamknięte w pięść, tak że na wewnętrznych stronach dłoni - w ich kielichach (lubię myśleć o dłoniach jak o kielichach) - porobiły się krwawe półksiężyce. Była noc, a ja tkwiłam w ciemności, feralnie rozpędzanej fałszywym ogniem z policyjnych kogutów. W powietrzu latały kamienie, butelki, kosze na śmieci. Obcy pot, pełen zapachu strachu i podniecenia. Ja czułam się jak drewniany świętek. Kawałek chodnika. Noc. Z wyjątkiem węchu wszystkie inne zmysły były przytępione. Byłam jaszczurką, prehistorycznym gadem wylegającym się pod elektrycznym słońcem.

Ulicę zamknięto, a w stronę wymieszanych ze sobą, wymieniających ciosy studentów i dresiarzy ruszyła tyraliera policjantów. Smoki z plastikowymi osłonami na twarzach, tarczami i karabinami w pazurach. Poszła salwa, kilkanaście osób padło na ziemię. Znalazłam się pomiędzy światłami. Czy motocyklowy but stanie na mojej twarzy, zgniecie tożsamość? Czy rzeczka krwi - czarna w świetle latarni - wypływająca z rozprutego brzucha, w którym jakiś organ wewnętrzny trzepał się niczym schwytna na haczyk ryba, dosięgnie mnie? Czy zostanę zmyta, zhańbiona, poplamiona? Co to był za olimpijski spokój! Poszła druga salwa i jakiejś dziewczynie - wyglądało to na robotę niewidzialnego, złego ducha - głowa rozprysła się jak dojrzała makówka. „Zlepią ją, a później pochowają: dziewczynę w białej czystej sukni i białym welonie nad wiankiem, i nawet nikt nie zajrzy jej między nogi, by stwierdzić, czy była dziewicą”, pomyślałam. Ja, jaszczurka...  
- Pani tu nie powinno być. Pani musi iść ze mną - po-

chylałeś się, widziałam po pocie perlącym się na twoim czole, ile kosztowało cię, żeby tu się do mnie przedrzeć. To strach.

Miałeś głębokie bruzdy na wąskiej twarzy, kurze łapki wokół czarnych oczu, ale jeszcze czegoś takiego nie widziałeś. Tylko na filmach. Możliwe, że się we mnie zakochałeś na chwilę, atmosfera sprzyjała krótkim intensywnym uczuciom, przypominającym w jednym dreszczu, że jeszcze się żyje, że jeszcze się jest. Mogłam to zrobić dla ciebie:

- To proszę mnie stąd zabrać.

Twoje profesorskie ręce, nienawykłe do dźwigania, wzięły mnie i uniosły.

w hotelowym pokoju  
zestawione łóżka - w jedno  
żeby udowodnić sobie że  
nie jesteśmy

przypadkowymi towarzyszami podróży  
ile będzie jeszcze łóżek?

Robotnicy poszli sobie, jakby nigdy ich nie było, ale przecież byli. Zniknęli jak duchy, wraz z nimi rusztowanie z za okna. Wróciłam do swojego pokoju. Nie wiedziałam, czy czuję ulgę, czy w ogóle coś innego. Jestem wydrażoną skorupą. Zniknęłam. Rozpłynęłam się w nie-naturalnej ciszy pustego akademika. Kiedy przechodzę obok pracującej na pół gwizdka recepcji (nie można tak po prostu jej zostawić), recepcjonistka mnie nie widzi. I strażnik też nie. Ani sprzątaczką. Nieliczni studenci, którzy już zakończyli wakacje, przygotowujący się do egzaminów poprawkowych, też nie zwracają na mnie uwagi. Rozmawiają, ale tylko ze sobą. Wchodzę schodami na piętra, bo winda nie zjeżdża na przywołanie albo drzwi zamykają się tuż przed nosem. Stałam się swoim pokojem. Noc. Pod oknami walczyły koty. Słyszałam parskania, syczenia. Sekundę, dwie po ostatniej eskalacji nienawiści



- głuchy trzask. Odgłos uderzenia przenika przez kości jak śmiertelna choroba. Samochód potracił kota. Trwałam z tą myślą nie chcąc, a nie - nie mogąc się poruszyć. Co ze mnie za człowiek?! Ale przecież ja zniknęłam. Otworzyłam okno: idealnie pod latarnią, w żółtym świetle jakby obsypanym piaskiem, leżał czarny kształt. Wyglądał jak dziura w asfalcie. Na ulicy, o wieczornej godzinie, kiedy samochody jeżdżą z częstotliwością jeden na kwadrans. Nie hamują.

Metalowe wyjściowe drzwi głośno trzasnęły. Wybiegła dziewczyna. W bieliźnianym podkoszulku, niezapiętych spodniach. Przestrzeń całej ulicy wypełniało szuranie pantofli niedbale założonych na stopy. Domowych kapci uszytych ze sztucznego futra w panterkę. Buty dobre dla dziecka. Dziewczyna miała ręcznik zarzucony na szyję niczym szalik. Rozglądała się, głośno oddychając. To szła,

119  
to biegła - drobna, przechylona pod ciężarem pudła do przewożenia zwierząt. Nie domyślałam się nawet, że ktoś w akademiku trzymał psa lub kota. Ona była samozwańczą Samarytanką albo fascynowała ją śmierć. Ciemne, rozpuszczone włosy biegły za postacią, wyglądały jak skrzydła. Przykucnęła pod uliczną latarnią. Przełożyła czarnego kocura, pokonanego nocnego zabijakę, na ręcznik. Głowa miękko chodziła na szyi, z pyska (zmiażdżonego, co nie było widać na pierwszy rzut oka) sączyła się krew. I biała ciecz, która nie była śliną opływającą połamane zęby, ale płynem mózgowo-rdzeniowym.

Dziewczyna nieudolnie wsuwała kota do pudła, które miało zrobić się jeszcze cięższe; aż ponad jej możliwości. Zniknął pysk z żółtymi oczami, których nie zdążyła zasnuć mgła. Powycierany grzbiet o masywnych łopatkach. Zamknięta kratka obijała się o kocie pośladki, napierała na ogon, który pozostał naturalnie puszysty, a nie: najeżony i krzyczący jak u kotów, które umierają po długotrwałej

agonii. Trach i już cię nie ma! Nawet nie zdążysz zauważyć. Z naprzeciwka wolno nadjechał samochód. Kierowca - mężczyzna, a może kobieta - zobaczył klęczącą ślicznotkę, o twarzy europejskiej aktorki, mocującą się z ranym (martwym?) zwierzątkiem. Zobaczył kropelki potu zbierające się nad górną wargą mocno wykrojonych ust. Pomyślał, że dziewczyna, zapewne zrozpaczona, oszołomiona nagłą katastrofą, stara się uratować zwierzątko, które należało do niej. Ale się nie zatrzymał. Ten wieczorny obraz, w całkiem nieodpowiednich momentach, wspomnieniem będzie mu stawał przed oczami.

Nie skończyła się jeszcze mocować, kiedy z tyłu - bez świateł, za to na pełnym gazie - nadjechało drugie auto. Ciało dziewczyny, z rozkrzyżowanymi rękoma - przez co

120

wyglądała jak gimnastyczka szykująca się do salta - wystrzeliło w górę, a potem upadło na zniszczony, przeorany przez rusztowanie trawnik akademicki. Białe pudło, z urwaną kratką i z martwym czarnym kocurem wewnątrz, leżało na boku.

Naraz zorientowałam się, że już nie stoję w oknie, nie patrzę ani nawet zimno nie obserwuję. To ja, to ja jestem tą dziewczyną. Zranioną lub martwą. W osobliwy sposób powołaną do ciała.

Alicja

ŚMIERĆ JEDWABNIKA

Umieram, bo nie umieram.

Św. Teresa od Jezusa

Kocha się tylko to, od czego się cierpi.

Gustaw Flaubert

„Ty, Trójco wiekuista, jesteś głębokim morzem, które im bardziej człowiek zgłębia, tym bardziej je odkrywa, a im bardziej odkrywa, tym bardziej go szuka. Nie sposób zaspokoić się Tobą, albowiem dusza, gdy w Twojej się pograża otchłani, nie syci się, lecz w Tobie trwa, łaknąc Cie-

bie i czerpiąc, Trójco wiekuista, pragnąc widzieć Cię jasno, w Twym świetle. Jak jeleni łąknie źródła wody żywej, tak dusza pragnie wyjść z mrocznej celi ciała i ujrzeć Cię w prawdzie. Ach, Twoja twarz jak długo jeszcze będzie ukryta przede mną?

O Trójco wiekuista, płomieniu i czeluści miłosierdzia, rozprosz już chmurę mojego ciała! Poznanie Ciebie, które ofiarowałaś mi w Twojej prawdzie, narzuca mi pragnienie, by porzucić ciężar własnego ciała i oddać życie sławie i chwale Twojego imienia. Albowiem skosztowałam, widziałam, światłem intelektu, w Twojej jasności, Twoją czeluść, wiekuista Trójco, i piękno Twojego stworzenia... Ty, wiekuista Trójco, jesteś stwórcą, a ja, która jestem Twoim

122  
stworzeniem, w moim odrodzeniu we krwi Twego Syna ujrzałam, że jesteś zakochana w pięknie własnego stworzenia. O, czeluści, Bóstwo wiekuiste i morze głębokie! I cóż mogłaś dać jeszcze, jeśli dałaś już siebie samą?" 1. Słowa Katarzyny ze Sieny. Słowa, które padły w ciemności, jaka doprowadzi nas do Światła.

Zostałam pobłogosławiona. Zostałam wybrana. Zostałam pobłogosławiona przez to, że zostałam przez Ciebie wybrana.

\*\*\*

Myślę o jedwabnikach. A właściwie o jednym, konkretnym jedwabniku. Ta myśl jest jak sen, którego nikt nie zdoła powstrzymać, bo przychodzi co noc. Jak długo potrafimy powstrzymywać się od spania? Tkwić w absolutnej rzeczywistości, bez chwili wytchnienia dla marzeń? Tak jak i bez oddechu - niedługo.

Oczywiście najpierw myślę o gąsienicy jedwabnika.

U nas, w Kastylii, hodowanie ich nabrało sensu i znaczenia, kiedy wygnano z kraju Maurów, którzy tym się zajmowali. Królewska Hiszpania może obejść się bez niewiernych, ale nie bez jedwabiu. Teraz gąsienice je-

dwabnika są chrześcijankami, a przynajmniej powinny być. Dla Dobra.

Gąsienica jedwabnika je morwowe liście (są tu ich całe sady). Nie ma w tym zajęcia wytchnienia, dopóki nie przyjdzie czas na pierwsze linienie. Pierwsze, drugie, trzecie. Przy następnym, które jest ostatnie, gąsieniczka 1 Święta Katarzyna ze Sieny, Dialog o Bożej Opatrzności, tłum. Leopold Staff, W Drodze, Poznań 1987.

zawija się w oprzęd. Jedwabny kokon. Ta doskonałość może kosztować gąsieniczkę życie. Jeśli jest wolna (co zdarza się rzadko), przegryzie to, co naprzędła, i ucieknie. Zamieniona w ćmę. Inaczej hodowcy zaduszą ją, kładąc na wrzących kamieniach i polewając wodą. Jedwabne kokony dadzą u kresu mozolnego procesu jedwabną materię. Chustki z jedwabiu i wstążeczki. Osobliwa historia, ale prawdziwa. Historia nie pierwsza i nie ostatnia...

W Tordeso młoda wieśniaczka była świadkiem objawienia NMP. Niepokalane Poczucie siedziało na białym osiołku wielkości domowego kota. Kiedy Madonna pojawiła się po raz piętnasty i ostatni, na miejscu przezeń odwiedzanym wyrosła cudowna lilia. Cała ze śnieżnego jedwabiu. Wieśniaczka, która świadkowała NMP, została ukamienowana przez tłum, w 1616. Ja urodziłam się rok wcześniej.

Ahumada! Ahumada! Ahumada! Kiedy jestem mała, czczę matkę Beatriz de Avila y Ahumada, a ojca Alonsa Sanchesa de Cepeda unikam. Może to przydarza się wszystkim dzieciom. Przeraza mnie ojcowski, dudniący głos i zarost na twarzy. Lgnę do matki, która jest piękna, najpiękniejsza na świecie, a delikatne jej dłonie, które muskają dziecięcy policzek, pachną pomarańczami i krzewem różanym. Odprawia służące i sama czesze włosy córki. Wtedy też, żeby złagodzić ból, opowiada historie rodu Ahumada (co znaczy Dym). Jej pradziadek wraz z sy-

nami wstawili się w walce z Maurami, po stronie króla Kastylii. W beznadziejnym przypadku, kiedy w podpalonej warowni zostali osaczeni przez niewiernych - plecy ojca oparte o plecy synów - przyszedł im z pomocą Pan i zesłał gęsty dym, by pod jego osłoną mogli ocalić swoje ciała, bo w to, że ich dusze były bohaterskie, nikt nie wątpił. Bóg wybawił ich, by nadal mogli Mu służyć mieczami, w umacnianiu Boskich praw na ziemi. „Odtąd nosili przydomek Ahumada, a w ich herbie znajdowała się płonąca wieża” - klaruje mi przepełniony dumą głos matki. Drugi raz w ciągu dnia spotykam ją, kiedy kładę się na spoczynek. Błogosławi mnie i szepcze: „Avi\ a cantos y santos”. Śnię sceny z matczynego ślubu. Ślubu kruchej łani ze starym lwem. Staruchy wirują, zgodnie z małżeńską tradycją Kastylii. Rytuał ten nazywa się „tańcem babek”. W jednym korowodzie - płodności i śmierci - tańczy panna młoda wraz z najstarszymi matkami miasta. Różane policzki i cienkie paluszki fruują w kole wraz z obwisłymi brzuchami i wyschniętymi na wiór łokciami. Po takich snach mawiam sobie, że pójdę do klasztoru, bo boję się go mniej niż małżeństwa, mniej niż tego okrutnego tańca, w którym nikt nie widzi nic niestosownego: ani dorośli, ani dzieci.

Dalej: „Beatriz Ahumada nigdy nie będzie stara”, myślę. To niemożliwe, by rysy jej twarzy spękały i się rozmyły. Modlę się o to, by to była nieprawda.

Faktycznie, umiera młodo - w wieku chrystusowym - przy okazji ostatniego dziecka, ostatniej córki. Coraz bledsza i bledsza, rozplywa się jak chmurka na błękitnym niebie. Staje się martwa. Osobna od nas wszystkich.

Zostanę „matką” dla rodzeństwa: Fernanda, Rodryga, Lorenca, Antonia, Pedra, Jeronima, Augustina. Juany.

„Siostrą” dla wielu kobiet i mężczyzn, których spotkam w życiu - będę długo żyła, pomimo że będzie mi to nie-miłe. Będę żyć w ciągłej tęsknocie.

125

Powiedzą, że jestem zdartą skórą z Beatrycze Ahumady, więc moja skóra przeżyje jej starość.

Raz ocali mnie ojciec.

Drugi raz - Oblubieniec.

Umieram, bo nie umieram.

Na razie jestem jeszcze małą dziewczynką (z obojgiem rodziców) i już płynnie czytam. Historyczne romanse mojej matki. Iluminowane historie pełne skrzywdzonych księżniczek, napastowanych przez złych czarowników. Porywane przez smoki, wybawione przez rycerzy, których postacie uformowała biała mgła. Znam legendę o królu Arturze. Zaglądam do kielicha, który na nieśmiertelność połączył Tristana i Izoldę. Jestem durniem walczącym z wiatrakami. Z godną podziwu ambiwalencją dobieram sobie lektury: matczyne heroiny, które przypominają o szlachectwie jej krwi, i ojcowskie żywoty świętych (godne neofity). Ojciec biesi się o te pierwsze; matka stara się nie blednąć przy tych drugich, gdzie śmierć przypomina autodafe. Na publiczne egzekucje chodzić mi nie wolno, więc rozczytuję się w tych hagiograficznych pergaminach, pełnych doskonałych mordów i pokornego cierpienia. Zasypiam, myśląc o wydłubanych oczach i wyrwanych piersiach. Odrąbane głowy toczą się jak paciorki różańca prosto w mój sen. Ślubuję zostać męczennicą. Złoszczę się, że świat nie jest już taki zły jak kiedyś, nie potrzeba tyle krwi, żeby go odkupić. Niczym Czerwony Kapturek udaję się za bramy miasta, by poddać się niewiernym. Niech zetną mi głowę, a dusza napawa się Obliczem Pana. Ta moja ucieczka zostaje odkryta (jeszcze w obrębie Avili). Ojciec zdziera ze mnie pasy, zatrwożona

126

mama szepcze o mnie „la nina”, maleńka, i policzkuje mnie. Pomarańcze i róże.

Brat Rodrygo (który mnie wsypał) podchodzi pod drzwi

komórki, w której mnie zamknięto, i czyta mi Dialog Katarzyny Sieneńskiej. Fragmentów uczę się na pamięć.

Zatrząskują mnie w Prozie -

Tak jak - gdy byłam mała -

Zamykali w Komórce -

Abym „cicho siedziała” -

Siedziała! Gdyby widzieli

Wir Myśli - rwących w Przestrzeń -

Podobnie mogliby Ptaka

Zamknąć - za Zdradę - w Areszcie -

Ptak - dosyć, że zapragnie -

A już - od Gwiazdy prędzej -

Wzbija się ponad Niewolę -

I mnie nie potrzeba więcej -2

Mama! Mama! Mama! Błogosławiony brzuch miała pod brodę, a potem nagle nie ma ani brzucha, ani matki. Modłę się do Maryi Dziewicy, aby wzięła mnie pod swoje opiekuńcze skrzydła. Całuję jej alabastrowe stopy i czuję zapach lilii i kryształu, nie: róż i pomarańczy. Tęsknię tak bardzo, że zamiast zaczynać krzyczeć, zamykam się w klaustrofobicznej kości czaszki i milczę. Ściany miażdżą. Jest mnie coraz mniej i mniej, jakbym dążyła do nicości. Jakbym zeszła do Szeolu. Zobaczyła Diabła. Może mnie wydobyć z tego stanu

1 Emily Dickinson, 100 wierszy, tłum. Stanisław Barańczak, Arka, Kraków

1990.

127

siarczasty policzek, ale dłoń, która miała tego dokonać, jak święty mrozem liść zatonała w śniegu. Co za niesprawiedliwość. Persefona nie może wywoływać Demeter. Ojciec burczy na mnie. Postarzał się do postury stulatka.

Myślę, że to jego wina, to przez niego dona Beatriz umarła.

Mówię mu o tym (sykiem węża). O tym, że wiem. Że nie ukryje się. „Co?” - pyta on. Twój ojciec, tato, wciąż się mył

i mył, i zapalał świece w każdy szabas. Inkwizycja o takich rzeczach pamięta. „Beatriz, Beatriz” - szepcze ojciec. Wkrótce potem „la nifia” zakochana jest po raz pierwszy i niedoskonała.

Boję się.

Mam w sobie oceaniczne pokłady wielkiego uczucia; nikogo do obdarzenia nim. I żadnej nadziei. Moi najstarsi bracia w poszukiwaniu serca (dalej: złota) wyjeżdżają za Wielką Wodę z niedobitkami Magellana i Corteza. Ja tkwię w Avila niczym kołek w płocie. Jak stwór pozbawiony nóg i głowy, za to z piersiami, z pierwszą krwią na chusteczce. Moimi atrybutami stają się: lusterko i jedwabny staniczek. Wtedy to (wreszcie) zjawia się wymodlony, utworzony z ciepłych westchnień, wilgoci porów - kuzyn, który jest miłością.

Pozwalają mu często mnie odwiedzać (żeby odegnąć żalobę). Przesiadujemy w ogrodzie, który daje cień. Dawałby też skupienie, gdyby nie to, że czuję się jak pszczoła. Ciało brzęczy i jest w ciągłym tańcu nie do poskromienia. Jest to jednak taniec jałowy.

Obieram lepką, złotą pomarańczę; słodki sok płynie po ładnie wykrojonych nadgarstkach, po pulchnych przedramionach. Kuzyn go stamtąd scałowuje, nie czekając na swoją soczystą ćwiartkę. „Niestety! Ja nieszczęsna! Bóg nie chce, bym żyła dość długo, aby zobaczyć Tristana, mego przyjaciela, raz jeszcze, jedyny raz tylko: chce, bym utonęła w tym morzu. Tristanie, gdybym mogła mówić z tobą jeszcze raz jeden, mało by mi ważyło umrzeć potem! Przyjacielu mój, jeśli nie dobiję do ciebie, to znaczy, że Bóg tego nie chce, i to moja największa boleść. Śmierć mi jest niczym: jeśli Bóg jej życzy, przyjmę ją, ale ty, miły, skoro dowiesz się o niej, umrzesz, wiem o tym. Takie jest nasze miłowanie, iż nie możesz ty umrzeć beze mnie ani ja bez ciebie”.

Ojciec kosztowanie owoców przerywa po trzech mie-



siącach, które były bliskie mojemu sercu niczym jedna godzina. Błysk! Moje ciało pozostało niezmienione. Pozostałam nietknięta. Ojciec „zamknięta” zamyka w klasztorze augustianek. W zakonnym pensjonacie. Nie bronię się - do czasu. Kiedy przychodzą dwie siostry, by przebrać mnie w szorstką sukienkę - rozpaczam. Krzyczę tak, że przerywam w kaplicy modły; będę za to pokutować. Mea culpa. Mea culpa. Mea maxima culpa.

Przez okno mojej celi widać słońce, jak przystaje na wysokiej linii horyzontu, w samo południe. Jakby czekało na mnie... Chcę na nie spojrzeć, nie mrużąc oczu. Mieć pełno światłości pod powiekami. Wpierw próbuję to zrobić bladym świtem, potem o zachodzie. W końcu wydaje mi się, że jestem gotowa. Zapatrzona, wylewam morze łez i mało nie ślepnę. Przychodzi do mnie ta sama felczerka, która, obmywając ręce w misie, mówiła do mojego ojca: „Virgo intacta”. Kładzie mi błoto na powieki, które ropieją. Pod powiekami zaś pulsujące dwa słońca, dwa serca. Jakże inne, nie z tego świata. Szatan mnie opuszcza. Wraz z tym

129

odejściem staję się obca we własnym - przecież bogobojnym - mieście. Libera nos, Domine. Libera nos. Anima Christi, sanctifica me. Coprus Christi, salva me. Sanguis Christi, inebria me. „I Ciebie zawisł nad nią”.

Ojciec odbiera mnie z klasztoru. Przez całą drogę do jego domu nic nie mówimy. I nie ma nic w tym milczeniu - nawet oczekiwania. Nie minie wiele czasu, uciekam od niego i bladym świtem błagam przeoryszę u bram klasztoru Wcielenia, by mnie przyjęto w szeregi nowicjuszek. „Dlaczego?” - pyta ojciec, kiedy po raz pierwszy witam go w welonie. Nie odpowiadam. Wtedy on zaczyna czytać ze wspomnień: „Dziś, w środę, 28 marca 1515, przy pierwszych brzaskach jutrzeńki, około godziny pół do szóstej, urodziła się nam nasza córka, Teresa”. Płacze. Płaczę z nim i odpowiadam na zadane pytanie: „Boję się”.

Bo się boję.

Bóg w samej rzeczy jest zazdrosny -

Jak dziecko - znieść nie potrafi,

Że każdy z nas z innymi ludźmi

Chętniej niż z Nim się bawi<sup>3</sup>.

Będąc na modlitwie, ujrzałam tuż przy sobie, czy raczej poczułam - bo oczyma ciała ani oczyma duszy nic nie widziałam - poczułam więc, tak mi się zdawało, obecnego tuż przy mnie Chrystusa Pana i miałam wyraźną, jakby naoczną pewność, że do mnie mówi. On wciąż stoi przy mnie z prawej strony.

3 Emily Dickinson, 100 wierszy, tłum. Stanisław Barańczak, Arka, Kraków

1990.

„W jakiej Go widzisz postaci?”

„Wcale Go nie widzę”.

„Skądże więc wiesz, że jest to Chrystus Pan?”

„Nie wiem skąd i jakim sposobem, ale nie mogę nie mieć świadomości, iż On przy mnie jest. Widzę jasno i czuję Jego obecność”.

„Jeśli więc, jak mówisz, nie widzisz Go ani oczyma ciała, ani oczyma duszy, jakimże sposobem wiesz i pewnajesteś Jego obecności?”

Mogłabym na to odpowiedzieć porównaniem z osobą siedzącą w ciemności albo ślepą i przeto niewidzącą tego, kto przy niej jest, ale to porównanie nie bardzo przypadłoby do rzeczy. Jest tu tylko światłość, która, choć niewidoczna, oświeca umysł, aby dusza cieszyła się tak wielkim dobrem. Ale nie tak, jak w modlitwach zjednoczenia i odpocznienia, gdzie mam świadomość, że On mnie słyszy, czuję w sobie wewnętrzne skutki Jego łask i uczucia duchowe wielkiej miłości, żywej wiary, mężnych postanowień i słodkiego rozrzewnienia. Tutaj oprócz tego działania widzę nadto, że i Najświętsze Czwieczeństwo mi towarzyszy i raczy darzyć swymi Ła-

skami.

„Kto ci powiedział, że jest to Jezus Chrystus?”

„On sam mi to mówi i po wiele razy. Lecz pierwej nim mi to powiedział, wyraziło się już w umyśle moim, że to  
131

On; przed tym zaś wyrażeniem w umyśle On toż samo mi mówił, aleja Go nie widziałam”.

Daj mi, Panie, utrapienia, daj prześladowanie. Dusza chce naśladować jak tylko może to życie najboleściwsze, jakim żył Chrystus.

Ból - rozciąga Czas -

Ciasną Czaszki sferę

Rozsadza Sekundą

Pęczniejącą w Erę -

Ból - zagęszcza Czas -

W jednym punkcie Ciosu

Skupia Nieskończoną

Panoramę Losów<sup>4</sup>

Umarłam. To znaczy, siostrom w zakonie tak się wydawało. Na ostrzu noża nie pozostała mgielka oddechu. Ciało zostało obmyte z nieczystości.

Wezwano mojego ojca. Wszedł do komnaty śmierci, głowę miał podniesioną. „Teresito!” - wyrwało mu się. Nie patrzył na mnie. Ignorował całkowicie spierzchnięte wargi, zieloną skórę pod oczami i tamtą rozciągniętą na sterczących kościach policzkowych. Śnieżny chłód stóp. Śnieżny chłód dłoni.

Na stoliku wciąż leżały rzeczy felczerki. Zaczął brać je do ręki i głośno nazywać. Słyszałam ich stukot, czasem  
<sup>4</sup> Emily Dickinson, 100 wierszy, tłum. Stanisław Barańczak, Arka, Kraków

1990.

132

szelest, kiedy je odkładał. Słowa: „Żółty proszek przeciwko żółtacze”. „Zioła związane końskim włosem”. „Mniszek”.

„Marzanna”. „Bieluń”. „Senes”. „Sączyniec”. „Belladonna”. „Jagody jałowca - na nerki”. „Pięciornik - na biegunkę”. „Jasnota - na kobiece przypadłości”. „Pijawki”. „Kleszcze”. „Nóż”. Potem usiadł obok mnie. Blisko. Dla niego byłam żywa, choć dla innych pozostawałam martwa od czterech dni. Spokojnie, bez krzyków ni rękoczynów zabronił przeoryszy składać ciało na wieczny spoczynek w krypcie klasztoru Wcielenia. Zakonnice brały to za cierpienie. Za ból. Ojciec myślał tylko o miłości. „Kiedy byłem chłopcem - powiedział, siadając obok chłodu, który we mnie rósł - Cristóbal Colon odkrył Nowy Świat. Wszyscy w Hiszpanii byli ucieszeni; paru jeszcze się bało, ale nikt się nie zdziwił. Czuło się bowiem w głębi duszy (od zawsze), że tamte krainy złota i woskowych roślin muszą istnieć. Tak jak i niegdyś istniał na ziemi raj i jak istnieje miejsce, którego ścieżkami teraz zmierzasz, córeczko, aż do tajemniczego jądra. Wierzę, że jest tam pięknie. Wierzę, że odzyskałaś spokój ducha. Że czeka na ciebie ktoś ukochany i trudno ci puścić jego rękę... Błagam, Teresito, wróć!”.

Tak wygląda to całe umieranie? Gdybym mogła - gdybym miała jeszcze ciało - dotknęłabym desek sufitu. Ich spękań, sęków, zacieków od deszczu - z czasów, kiedy jeszcze dach przeciekał.

Jestem jak nasionko dmuchawca, ostatni oddech wyniósł mnie ku sufitowi celi.

Nie czuję ani chłodu, ani ciepła, ani niczego.

Spoglądam w dół - pijawki opiły się moją krwią. Ojciec myśli, że oplakuje mnie, a w rzeczywistości oplakuje moją

1 33

matkę. W zaskorupiałej rozpaczycy marszczy się jego nos, który starość uczyniła haczykowatym. W świetle gromnicy lśni, okrągła jak królewski globus, głowa z isticie mniszą tonsurą, wystrzyżoną czasem. Ciężkie, dębowe okiennice są zamknięte, choć na zewnątrz musi już

świtać. Nie stanowią dla mnie żadnej przeszkody. Przenikam przezeń - z szarości agonii w różowość jutrenki. Jestem chmurką ponad czerwonymi dachami klasztoru Wcielenia. Ptasim piskiem niosącym się po blankach cyklopowych murów obronnych, wzniesionych przez prapradziada królowej Izabeli. Królowej o Drobnych Dłoniach.

Szybuję ponad zielonymi łąkami. Och! Skąd ta zieleń, bardziej odpowiednia do innej pory roku? Czy ja śnię? Pada tłusty deszcz, o wielkich kroplach, i wtem odwiedzam (jako duch) swego brata, który jest hidalgim w Nowym Świecie...

Za siedmioma górami, za siedmioma lasami jest Wieczność. Niebo się jeszcze bardziej chmurzy, aż zapada ciemność. Jestem w niej - w Ciemności. Nie ma tu góry ani dołu. Wschodu ani zachodu. To tunel, na którego końcu - niczym kaganek stojący przy łóżku niemowlaka - migocze światełko. Moja latarnia morska. Iść czy...?

On jest Światłością. Jezu Chryste, jak dobrze Cię widzieć (po długiej podróży). Jak dobrze czuć Twoje palce, splecione w jedno z moimi. Prowadzisz mnie do złocistego ogrodu, gdzie róże i pomarańcze.

Za szeregiem morowych drzewek jest Granica. Mój Limbus. Przypadam do nich, do rozmięklej ziemi wokół ich korzeni. Liście spadają mi wprost do ust. Nie opuszczasz mnie w tym posiłku, Panie.

Jem liście morwy. Jestem sycącą się gąsieniczką. Cała nabrzmiwam. Jeszcze chwila i mój duch rozpęknie się jak balon, a jego strzępki pofruną wszędzie i nigdzie. Będą jak latawce.

Na splecionych palcach - moich i Twoich, mój Panie (Mężu mój, Oblubieńcu) - przysiada biały motyl. Czucie wraca na chwilę, bym mogła poczuć chód jego drobnych łapek. Jaka to piękność! Próbuję dotknąć go wolną ręką,

jego mieniących się Twoją jasnością skrzydeł, a wtedy Ty puszczasz mnie i motyl odlatuje.

Nieznajoma siła odciąga mnie od Ciebie. Wsysa z powrotem do ciała, które napręza się i łapie charczący oddech ustami wciąż poplamionymi morwowym sokiem.

Mój ojciec nie może powstrzymać się od radości.

Zgubiona - w trakcie zbawienia!

Właśnie gdy świat zniknął z oczu,

Właśnie w chwili, gdy Wieczność miała się rozpocząć -

Wtedy powrócił oddech -

Z szumem się wycofała -

Po tamtej stronie - zniechęcona fala!

Kto wrócił, tak jak ja, zwiedziwszy Pogranicze,

Ten pragnąłby wyjawiać jego tajemnice:

Jak Żeglarz, który otarł się o obce lądy,

Jak poblady Reporter, który z domu zbrodni -

Zanim Pieczęć drzwi zamknie - wyszedł na ulicę!

Następnym razem - zostać!

Następnym razem - doznać

Czego Uchem ogarnąć,

Objąć Okiem nie można -

135

Następnym razem - zwlekać,

Tempo Wieków hamować zwykle -

Niech powoli wloką się Stulecia,

Kołują Cykle!<sup>5</sup>

Venite ad me!

Dormi supra me.

Proximus me.

Amores mortuus sum<sup>6</sup>.

\*\*\*

„Słyszałyście zapewne, w jak cudowny sposób, którego tylko Bóg może być sprawcą, powstaje jedwab; jak poczyna się z maleńkiego jajeczka, nie większego od drobnego ziarenka pieprzu (sama tego nigdy nie widziałam,

tylko słyszałam, więc jeśli w tym, co powtarzam, znajdzie się jaka niedokładność, nie będzie to z mojej winy). Otóż z nastaniem wiosny, gdy już liście z drzewa morwowego zaczynają się rozwijać, jajeczko to ciepłem słońca ogrzane ożywia się, bo przedtem, póki mu liście morwowe nie dostarczały pokarmu, którym się żywi, było jakby martwe. Teraz z jajeczka wykluwa się robaczek, który żywiąc się liściem morwowym, stopniowo się rozwija, a gdy już do miary swojej urośnie, podsuwają mu całą gałązkę, po której

5 Emily Dickinson, 100 wierszy, tłum. Stanisław Barańczak, Arka, Kraków 1990.

6 łac. Chodź do mnie! Połóż się na mnie. Tuż przy mnie. Umarłam z miłości.

136

rej on, pełzając, pyszczkiem wysnuwa z siebie jedwab i dziwnie misterną robotą zwija go w kokonik, czyli kłębek, i w tym kłębku się zamyka, i w nim umiera, aż po jakimś czasie z kłębka tego, w miejsce dużego brzydkiego robaka, dobywa się biały, wdzięcznego kształtu motyl. Gdyby się to nie działo na oczach naszych, gdyby nam coś podobnego tylko opowiadano jako baśń z dawnych czasów, któż by temu dał wiarę?"7.

Święta Teresa z Avila

7 Święta Teresa z Avila, Twierdza wewnętrzna, Klub Książki Katolickiej, Poznań 2000.

TRANSS

Mama jest naga. Stoi przed frontem gdańskiej szafy (tego nagromadzenia rzeźb, liściastych ornamentów z kryształowym zwierciadłem nie da się określić inaczej niż front; szafa nie jest zwyczajną szafą -jest gmachem, w magiczny sposób upchniętym w sypialni innego domu), przegląda się w szklanej tafli lustra, lekko zmatowiałej na rogach. Ani drgnie, nie przeciąga się ani nie robi innych

uwodzicielskich ruchów, których można by się było spodziewać po takich pięknych kobietach jak ona.

Stoi. Robi to tak, jakby pragnęła się przekonać o tym, czy jeszcze istnieje. Zdecydowanie nie umarła; gdyby tak było, to nie miałaby odbicia niczym wampir. Jej stopy prawie dotykają wystających nóg szafy; jest krótkowidzem, pochyla się w poszukiwaniu zmarszczek, własnych ludzkich zmatowień. Zmęczone oczy rejestrują świeżą bliznę po cesarskim cięciu - ślad po córce. Widomy znak obecności drugiego dziecka. Cholerny świat! Cholerny sposób na rodzenie dzieci! Jednak jest szczęśliwa z tej nowej obecności, którą powołała na świat. Zawsze marzyła o tym, żeby być matką dziewczynki, jest to fakt nie do wymazania. Nawet jeśli mąż odchodzi, buntując się przeciw tym nowym obowiązkom. Jego naznaczenie niechcianymi dziećmi budzi w niej jakąś złośliwą radość.

Podglądanie nagiej matki to czyn świętokradczy, ale nie mogę przestać tego robić. Serce bije mi w gardle. Oczywiście

138  
ście, wtedy nie wyobrażam sobie, o czym może myśleć, dopiero później. Znacznie później.

Robię krok do przodu. Drewno ze skrzypieniem ustępuje z drogi, szpara w drzwiach sypialni się powiększa. Matka mnie zauważa. Nie jest zła! Nie odwracając się, robi taki ruch ręką, jakby mnie przyzywała. Jej odbicie woła mnie do siebie. Biegnę w podskokach. Wciskam się pomiędzy mamę a mamę. Dotykam długich nóg: chłodna skóra, ale pod nią niewątpliwie są arterie pełne płynącej krwi. Czołem dotykam blond gniazdka, które matka ma pomiędzy udami. Tego pragnę - takiej waginy.

Chcę być kobietą. Matka z telepatyczną mocą wszystkich istot, które wydały nas na świat, dowiaduje się o tym i natychmiast mnie odpycha. Świst tnie powietrze. Łapię się za bolący policzek, potykam, przewracam. W zmatowiałym lustrze widzę odbicie zanoszącego się płaczem



pulchnego, co najwyżej pięcioletniego chłopczyka, z włosami sprzed postrzyżyn. Lustro obłudnie kłamie. Ja jestem dziewczynką. Dziewczynką! Matka przez ileś najmłodszych lat utwierdzała mnie w tym przekonaniu, a teraz nagle zamienia się w potwora i odrzuca moje bycie. Mój sposób bycia -jak będę się śmiała, będąc dorosłą. Z pokoju obok dobiega płacz niemowlaka zbudzonego hałasem. Zostaję sama.

Tak naprawdę to nie uważam, żeby zachowanie matki zaburzyło moją tożsamość płciową. Urodziłam się dziewczynką w ciele chłopczyka, a przypadkiem matce przez chwilę to odpowiadało. W to mi graj. Stworzył mnie Pan Bóg, nie można Stwórcy posądzać o błędy, choć dzieciństwo, a później dojrzewanie były koszmarem. Dzisiaj bywa znośnie.

Kąpiel siostry, załączka kobiecości. W waniencie leży gumowa kaczuszka, rzecz bardziej dla mnie i dla matki, bo dziecko jest za małe, żeby zrozumieć, co to zabawka. Mocne ręce podtrzymują głowę, która dopiero co nauczyła się podnosić, chlapią na ciało, które jest doskonale -jeszcze bez śladu czasu, śladu doświadczenia. Matka pozwala mi asystować przy zabiegach higienicznych na siostrze. Cierpi na chwiejność nastrojów, nie rozpoznaje (jednak nie rozpoznaje) w moich oczach pożądania przemieszanego z zazdrością. Powoli znikam.

Wpatruję się w niemowlęce łono małej księżniczki, a po głowie kołacze się nadzieja, że może jestem dziwadłem z terminem ważności „od do”. Dziwadłem przez przeoczenie, a nie przez przeznaczenie. Może ta rzecz, którą noszę u podbrzusza, z wiekiem wyschnie i odpadnie, jak niepotrzebna pępowina u brzuszka dziecka.

Nic takiego, niestety, się nie staje. Kończę lat dwanaście, a siusiak chłopca zamienia się w drażliwy, gruby fal-lus mężczyzny.

Matka odnosi siostrę do pokoju. Znowu się z nią pieści,

znowu śpiewa kołysankę, choć zabiegi te nieuchronnie przywodzą mi na myśl kaczkę-zabawkę. Dziecko zasypia. Wkrótce zostaję sam na sam z niemowlęciem; niczym cień, po którym można deptać. Nie śpieszę się. Mam pięć lat i bardziej od samego czynu podnieca mnie myśl o nim. Tak już pozostanie, z konieczności.

Wyrzucam dziecko z łóżeczka. Nakładające się na siebie krzyk małej oraz krzyk matki. Milcząc, zostaję wykluczony z rodziny.

Sobota. Klub jest pełen. Niedziela to czas przeznaczony dla rodziny, miniony piątek - to dzień zaległej pracy, „normalnych” przyjaciół. Goście mają po dwadzieścia pięć lat i więcej. Nie ma małolatów - bardzo wyraźnie się tego przestrzega. Dzieci traktują świat za bardzo na serio; brak pieniędzy też ma tu swoje znaczenie, ale znacznie mniejsze, bo gospodarze nie są cyniczni. Z podobnych powodów brakuje ludzi starych. Własny wybór sprawia, że wolą smakować całotygodniowe smutki, zamiast rozproszyć je natłokiem wrażeń. Kolorami drinków, muzycznymi synkopami. Prywatnie uważam, że się trochę wstydzą takich miejsc, przywykli do życia w cieniu, ale może to jest Urdummhdt1. Zachwycamy się tutaj epoką, w której przyszło im strawić młodość. Uważamy ją za złotą erę, niczym Grecy czas, kiedy olimpijscy bogowie żyli pośród śmiertelników na ziemi. Zeus i Clark Gable, Hera w parze z Avą Gardner. Wychodzę na klubową scenę. Umalowana przez nadwornego makijażystę. Punktowy reflektor wydobywa blask cyrkonii naszytych na suknię w kolorze ciała. Podmuch postawionego za sceną wentylatora porusza platinową peruką. Tylko się pojawiaję, goście klaszczą. Podpici nawet robią więcej. Moja rola jest równie łatwa do rozpoznania jak Najświętszej Pani na jasełkach, nie jest to błuźnierstwo, lecz osobliwość pamięci. Najważniejsze wspomnienia zdobywamy jako dzieci, one w swej dziecięcej fizjonomii, nieprzyzwoitym napięciu w nas pozostają.

Mówię, podwyższając głos. Talk nie hamuje potu spływającego po odkrytych plecach. Ciepło ma źródło w podnieceniu, błyskawicznie nagrzewających się lampach; wszechobecny papierosowy dym wygląda jak poranna mgła, a przecież wszyscy tu jesteśmy dziećmi nocy. Pomarańczowa szminka topnieje na ustach...

1 Urduhmheit - określenie zjawiska socjologicznego: przypisywanie przodkom mniejszej inteligencji od naszej i większej dozy naiwności.

141

„Doprawdy po prostu flądra, niechlujne bóstwo - w takim sensie, jak lody z bananami czy puchar wiśniowy są nieschludne, ale boskie.

Głębia jej niepokoju (kogoś, kto nigdy nie spóźnia się mniej niż o godzinę na umówione spotkanie, co wynika z nadwrażliwości, a nie próżności, i także nadwrażliwość, napięcie wywołane przez stałą potrzebę przypodobania się, powoduje w dużej mierze jej częste niedyspozycje, obgryzanie paznokci, wilgotność dłoni, iście japońskie napady chichotania), a więc ta głębia niepokoju rodzi ciepłą sympatię, której bynajmniej nie rozprasza olśniewający sposób bycia. Co może być bardziej przemożnego, urzekającego, bardziej rozbijającego niż otoczona fanfarami istota, której należy i można współczuć; w takiej sytuacji wszyscy uczestnicy mogą pochłonąć ciastko i zarazem je zachować"2.

Z ładnego małego chłopca u progu dojrzewania przeradzam się w potwora. Matkę krępowałaby moja brzydota, gdyby nie to, że wciąż zajmuje się siostrą. Na mnie nie patrzy.

Jem bez opamiętania: mam dwanaście lat, przypominam świnię. Czuję do siebie obrzydzenie, z drugiej strony podobają mi się niemal dziewczynskie piersi, które zakwitają na otłuszczonym torsie. Matka chce mnie zabrać do lekarza. Odwiedza szkołę, słyszy, że przez dzieciarnię

jestem wyzywany od wieprzaków i cycków. Poza tym dzieci interesują się, gdzie znikł ojciec i dlaczego. Wstydzi się takiego grubasa? Słowa nie ranią tak bardzo, w duszy grają inne sprawy. W wieku trzynastu lat spotykam się z Truman Capote, Psy szczekają, tłum. Zbigniew Batko i Bronisław Zieliński, Muza, Warszawa 2000.

z dziewczynką, wciąż nie mogę się napatrzeć na jej drobne stopy, małe uszy, okrągłe biodra, pączkujące piersi. O ile matka dostatecznie mocno nie sprzeciwiła się brzydocie, tym razem zdecydowanie protestuje przeciwko przyjaźni. Posuwa się do tego, że przepisuje mnie do innej szkoły. „Nawet się nie obejrzymy, a ta gówniara wrobi cię w dziecko!”. Na nic się zdaje tłumaczenie, że to nie tak, nic takiego nie mam na myśli. Każe milczeć; śmieje się, bo przychodzi jej do głowy, co mógłby sobie pomyśleć ojciec, gdyby został dziadkiem...

Po piętnastych urodzinach zaczynam się odchudzać. Za podręczniki służą kobiece magazyny. Rozjaśniam włosy na nogach - nie ośmielam się jeszcze ich golić. Do ostatniej klasy liceum żyję w zawieszeniu pomiędzy byciem biologicznie mężczyzną a umysłowo kobietą. Postanawiam nie iść na studia. Wciąż mam dość grupy rówieśniczej. Przez konflikt, który rozgrywa się wewnątrz mnie, czuję się wyczerpana. Myślę o samobójstwie. Zamiast śmierci wybieram miłość.

Krzysztof wiecznie nosi swetry z taniej anilany. Uczy fizyki. Zapamiętuję delikatne ręce wiecznie pobrudzone kredą, zapach popularnego płynu po goleniu. Gdyby szkoła dowiedziała się o nas, to wyrzuciłaby go. Natychmiast usunęła z pracy. Możliwe, że inni nauczyciele byliby skłonni zaakceptować romans maturzystki (w końcu w klasie wszyscy byliśmy dorosłymi ludźmi) z profesorem, ale TO?! Krzysztof jest zbyt słaby, by dłużej ryzykować. Ostatni uścisk pokątnie wymieniamy na studniówce. Nie

żałuję, bo i Krzysztof widzi we mnie tylko chłopca. Polubił ciało, zabrakło wyobraźni, by zrozumieć duszę.

Matka wyprasza mnie z domu, za pretekst służą jej celowo oblane przeze mnie egzaminy na uniwersytet. Para-  
143

doksalnie: długo żyję z pieniędzy, które przysyła nieznany ojciec. Kiedy po raz pierwszy brakuje mi gotówki na czynsz, znajduję fryzjerski punkt, którego właściciel robi peruki. Sprzedaję własne włosy. Wbrew protestom środowiska udało mi się je zapuścić i utrzymać od czasów, kiedy byłam konfirmowana.

To dopiero jest dramat!

Matka i siostra nie domyślają się, kim jestem, nawet kiedy zostaję przyłapany przez nie na kradzieżach. Pierwszej zabieram pomadkę, drugiej paczkę tamponów.

Prawda jest dla matki zbyt obrażająca, by mogła ją uznać.

Siostra sądzi, że jestem zwyczajnie ciekawski. Próbuje umówić mnie z koleżanką.

Jedynym źródłem światła w pokoju jest ekran telewizora. Błękitna poświata odbija się w szklance z wodą, którą trzymam w dłoniach, w okularach do czytania leżących na nocnym stoliku. Nasenny proszek zaczyna rozluźniać mięśnie, niczym laska lukrecji czynić miękką i elastyczną granicę pomiędzyjawą a rzeczywistością. Czerwona dioda błyszczy na korpusie magnetowidu, ulubionym filmem próbuję sprowokować sny do tego, by były dobre.

Dwóch mężczyzn nieudolnie przebranych za kobiety wędruje po dworcowym peronie. Nie potrafią chodzić na obcasach. Pałakowate, żyłaste nogi przypominają korzenie drzew.

Tuż przed nimi stąpa ślicznotka, otulona etolą z nerek.

Włosy niczym wata cukrowa wychodzą spod kapelusika.

Film, do którego należy ta scena, jest czarno-biały, ale można domyślić się jego koloru. Trzeba tego koloru nauczyć się na pamięć... Obok pociąg wypuszcza z kotła parę

otworem znad żelaznych kół. Spłoszona ślicznotka odskakuje. Mężczyźni, wyglądający jak klauni, z zazdrością patrzą na jej ruchy. „Patrz, jak ona się rusza! Jak galaretka na sprężynie”.

Kaseta z Pół żartem, półserio dojdzie do końca, a później sama się przewinie. W moim magnetowidzie, oglądana bez ustanku, będzie miała dożywocie. Panna Monroe jest idolką większości gejów i transseksualistów na całym świecie. Chcemy w jej słodkiej twarzy przeglądać się jak w lustrze. Oprócz kolekcji filmów z nią mam jeszcze dzieła Almodovara. Jednak wolę oglądać klauna Wildera niż smutne monstra Hiszpana. Choć na pewno są lepiej ubrane. Szata nie tylko zdobi człowieka, szata nadaje tożsamość. Różowy becik dla dziewczynki, niebieski dla chłopczyka. Najpierw kupuję damskie ubrania w sklepach dla nietypowych. Są okropne. Z pantoflami wiążą się jeszcze większe kłopoty: trzeba wymyślać schorowane babcie o spuchniętej stopie słonia, dla których zamawia się buty. W karnawale historia jest prostsza - szpilki kupuje się do kostiumu. Jednorazowe przebranie za babę nikogo nie gorszy. Ani nie dziwi. Jednak pantofle nie wytrzymują ciężaru męskiego ciała, rozchodzą się na szwach, skóra pęka, trzeba kombinować, jak zdobyć następne. Jest to sprawa życia i śmierci. Sprawy ostateczne także bywają zabawne... Dopiero kiedy poznaję Marina, uświadamia mi on, że istnieją szewcy, krawcy, gorseciarki, którzy szyją wyłącznie dla takich jak my. Robią to doskonale, przy nas czują się artystami. A czasem także rodzicami.

W ciemności naga matka na czworakach spaceruje po suficie, niby ogromny, blady owad. Istota obecna, ale rodem nie z tego świata. Nie mojego.

Marino prowadzi wypożyczalnię filmów erotycznych - właściwie to najego półkach goszczą produkcje z czterech

stron świata, od archaicznych niemych obrazów po najnowocześniejsze utwory z miesięczną datą produkcji oraz hollywoodzkie klasyki, każdy nakręcony zgodnie z kodeksem Haysa. Wielu klientów zapomina, po co tu przyszło, i wypożycza te ostatnie. O filmach, w których nie zgodziłaby się zagrać Louis Brookes ani Clara Blow, to Marino twierdzi, iż dowiodły, że nasze czasy nie wymyśliły nic nowego. Nihil novi.

Nasza przyjaźń z Marinem jest przyjaźnią od pierwszego wejrzenia. Z czystej ciekawości zaglądam do przybytku, który mieści się w oficynie kamienicy, gdzie dopiero co wynajęłam mieszkanie. Niski standard - na nic więcej mnie nie stać, bo nie mam pracy. Jako kobieta nie mogę jej dostać, bo papiery mam nie w porządku, a jako mężczyzna nie chcę. Nie potrafię żyć, oszukując. Wchodzę do wypożyczalni Marina, zastanawiając się, czy dostanę film na kredyt. Oprócz mnie jest tu jeszcze młode małżeństwo. Dziewczyna za dwoje ogląda homoseksualne kasety, bo jej mąż wyraźnie wstydzi się to zrobić. Czeka, aż ona mu opowie.

Dziewczyna, nasyciwszy oczy, wraca do chłopaka, bierze go pod pachę: „To niesprawiedliwe, że tylko w homoseksualnych filmach są takie męskie laski!”. Wychodzą, a ja i Marino wybuchamy śmiechem. Swój zawsze pozna swego.

Marino jest synem algierskiego marynarza i sekretarki z Gdyni, niegdyś pracującej dla państwowego armatora. Barwna para, ale nieudana jak wiele. Marino ojca widział tylko na zdjęciach. Algier - również. Całe dzieciństwo ten i ów dokuczał mu z powodu śniadej skóry oraz „bezpłciowości”. Przykre to tym bardziej dla kogoś, kto ukochał zmienny klimat oraz katolickie święta. Wyrósł na kutii, białym barszczu z grzybami, bigosie. Wspominamy dziecięce rosoły, a potem wybuchamy płaczem...

Marino jako dwudziestoparolatek trafia do zakładu

psychiatrycznego. Wszyscy mają go za obłąkanego, noc w noc śni mu się, że jest kobietą. Czuje swoją waginę. Co noc przychodzi obcy cień, gwałci.

Kiedy w końcu się z tego wydobywa, okazuje się, że stracił dom. I jego domem - za sprawą dobrego zrządzenia losu - staje się Klub.

Klub nie jest miejscem tajemniczym, choć na jego bramce stoją groźni selekcyonerzy. Nie jesteśmy tak sentymentalni, by nazywać go łonem. Raczej - azylem. Nie wszystko jest tu możliwe, ale nikt nie zamyka oczu na rzeczy oczywiste. Żaden cesarz nie jest tu nagi. Żaden kamień nie świszczy w powietrzu. To dużo więcej niż bym mógł się spodziewać. Tutaj - od pierwszego razu - zdobywam się na to, by odetchnąć pełną piersią. Pozwól sobie na szczęście!

Czuję ulgę, która bierze się z tego, że występy w Klubie są przerwą w braniu się z życiem za bary. Po wtóre, dzięki protekcji Marina zdobywam tu doczesny skarb: pieniądze. Nie staję się przy tym kurwą, jak zdarza się innym w różnych zawodach.

Poniekąd to my jesteśmy Klubem. Niewątpliwie istnieje on w dwóch wymiarach: duchowym oraz fizycznym.

Selekcyoner i Marino przeprowadzają mnie przez salę.

Wnętrze przypomina przedwojenny francuski kabaret: dębowa podłoga, punktowe oświetlenie, okrągłe stoliki z kompletem krzeseł na wygiętych nóżkach, wreszcie

147

scena. Spodziewałam się, że jeszcze chwila, a usłyszę Edith Piaf śpiewającą Milord.

Drugie pomieszczenie jest zupełnie inne w charakterze. Sala taneczna, z barem obitym ufarbowanym na karminowo futrem. Dostępne wszystkie rodzaje drinków, jakie można sobie wymarzyć. I sushi.

Obok, na końcu pustego, ciemnego korytarza, którego ubóstwo aż piecze w oczy po wcześniejszej dekoracyjnej



orgii, jest pakamera. Oto serce Klubu. Pulsujące dobrocią i zrozumieniem. Marino, niczym Beatrice Dantego, zaprowadził mnie do właścicielki. Jest nią karlica. Uśmiechnięta, gładka twarz nad ciałem zniekształconym przez achondroplazję. Kobieta - w świecie, który pozostał za drzwiami Klubu - nie dałaby rady dosięgnąć do przycisków domofonu, tu zaś jest królową. Kiwa na mnie dużą głową okrutnie skrzywdzonej przez naturę wróżki i zadaje pytania:

„Co potrafisz robić?”

„O czym marzysz?”

„Kogo czytasz?”

„Kogo kochasz?”

Odpowiadam spokojnie i z namysłem.

A następnego wieczoru debiutuję na scenie Klubu, w roli panny Monroe.

„Jej wilgotne wargi, rozsypane blond włosy i opadające ramiączka stanika, rytmiczne falowanie ruchliwej pulchności borykającej się o miejsce w zbyt ciasnym dekolcie - oto jej emblematy, te przejawione efekty, które, jak można mniemać, uczyniły ją z punktu rozpoznawalną na całym świecie.

Jednakże, chociaż wygląd Marilyn pasuje do określonego typu, w rzeczywistości nie należy ona do owego gatunku, jest na to za miękka; co więcej, jest zdolna do wrażliwej koncentracji, zawsze będącej sekretem działania każdego talentu, tak jak to się dzieje w jej przypadku, postać, którą odtwarza, zbląkana istota, ponętna i wzruszająca, jest mądra i pełna przekonującego uroku, co zupełnie zrozumiałe, ponieważ nie ma dużej różnicy między jej obrazem na ekranie a wrażeniem, które wywiera prywatnie. Powab tych dwóch osobowości wynika z tej samej sytuacji: że jest sierotą z ducha i w rzeczywistości, jest naznaczona i rozświetlona stygmatem sierocego myślenia; nie ufając nikomu, przynajmniej nie zanadto, mozoli się jak wyrobница, by przypodobać się wszystkim, pragnie uczynić każdego

z nas swym czułym opiekunem, i wskutek tego my, jej widzowie, jesteśmy pochlebieni, współczujący, pobudzeni"3. Jeden dzień, jeden dzień w roku jestem tym, kim narzuca metryka. I jest to dzień urodzin. Parę godzin, których wyjątkowość ma potwierdzić prawdę: jestem kobietą. Raz na 365 dni noszę się jak mężczyzna. Nie wiem, po co tak czynię... Aby się przekonać, iż to niemożliwe? W moje urodziny widuje mnie tylko siostra, matka nigdy. Jako że ta pierwsza wyjechała na Cypr z mężem archeologiem (niegdyś była jego studentką; widać obydwie mamy słabość do nauczycielskiego autorytetu zastępującego autorytet nieobecnego ojca), następne 24 godziny są wyłącznie do mojej dyspozycji, idę do Klubu. Mogę iść tam albo zostać w domu. Nic innego; czasem ten brak wyboru przygnębia.

Ubieram się w podkoszulek, jaki nosił Marlon Brando w Tramwaju zwanym pożądaniem, nań zakładam zamszową 3 Truman Capote, Psy szczekają, tłum. Zbigniew Batko i Bronisław Zieliński, Muza, Warszawa 2000.

149

kurtkę. Wydepilowane nogi ze zdumieniem witają spodnie. Włosy pod peruką sporo urosły, swobodnie wiążę je w kucyk. Wierzę, że w Klubie nie zostaną rozpoznana.

Bar, piwo, papieros. Rozglądam się, nie myśląc o niczym. Czy tak nie robią mężczyźni w podobnych miejscach?

W końcu dosiada się kobieta. Trudno być brzydką w epoce „Elle” i „Cosmopolitana”. Rude włosy układające się w cienkie spirale ma całkiem ładne, oczy, teraz zamglone od alkoholu, mają barwę szmaragdów. Mogłaby sobie założyć aparat na wystające zęby, zoperować nos - nic nie jest niemożliwe. Geje i transy to wiedzą. Jednak przykład Marilyn Monroe z implantem w brodzie odszedł do lamusa. „Drogi Toto, nie jesteśmy już w Texa-

sie .

Rudowłosa mówi coś, a ja jej odpowiadam, choć nie słyszymy słów w ogłuszającym hałasie muzyki puszczanej na full. Tu nie trzeba mówić. Jedno ciało wie, że drugie na nie poluje. Sytuacja urzeka. Dać się zjeść, och, dać się zjeść.

Idzie to bardzo szybko. Zupełnie, jakby Rudowłosa... jakby i ona miała na ten wieczór postanowienie.

Pordzewiała zasuwka przytrzymuje drzwi toalety. Nie ma czasu (alkohol wyraźnie uderzył do głów) ani odpowiednio dużo przestrzeni, by móc wyplątać się z ubrań. Tylko strategiczne miejsca zostają obnażone.

- Uważaj - mówi Rudowłosa, wypieki znaczą jej twarz.

- Uważaj - powtarza, ale jest już za późno. Drżenie przechodzi mięśnie, a świat eksploduje w świetle zapalającym się tuż pod czaszką.

Tracę równowagę.

- Przepraszam - mówię. Choć się odchudzam, to daleko mi do tego, by ważyć tyle, co piórko. Puch marny.

Czuję euforię. Poznałam tę, którą chciałam być ponad wszystko. To nie seks - czasem wstrętny, czasem bolesny - to uczucie metafizyczne; na parę sekund udało mi się odzyskać zaginione ciało.

###

W srebrzystej mgłę tańczę z martwą Marilyn. Podaje mi swoją twarz, która jest blada i okrągła jak księżyc, pozbawiona makijażu. Sama niewinność. Pochylam się (Marilyn jest niska bez swoich pantofli ze zwyczajowo podciętym jednym obcasem, by duża pupa kołysała się jej, kiedy idzie, niczym kadłub statku; albo figlarna boja podrzucana na falach, jak w Pół żartem, pół serio) i całuję ją w usta. Rozchylone, mają smak lodów, okruchy zamarniętego śniegu wbijają się w wargi.

Sen rozmywa się, kiedy słyszę głośnie dudnienie, niweczące starania o jeden taniec z Marilyn; dansingowa mu-

zyka tonie w hałasie. Nawet nie orientuję się, kiedy czar pryska. Księżycowa gwiazda znikła, a w rzeczywistości, w czasie teraźniejszym, który wyrywa ku mnie zza przerwanej błony snu, ktoś dramatycznie dobija się do drzwi. Zwlekam się z łóżka, trę zapuchnięte powieki. Przesuwam dłonią po zlodowaciałych ustach. Staram się myśleć, że poranna erekcja, której natrętny gość nie pozwala mi strząsnąć niczym słupka rtęci w termometrze, nie krępuje mnie. Słodko - gorzko. Ciepło - zimno. Otulam się białym frotowym szlafrokiem, z którego klapy nieudolnie próbowano wypruć haftowaną nazwę hotelu. Klamka odskakuje w palcach.

- Dziewczynki z baru powiedziały mi, gdzie mieszkasz. Przez te parę tygodni niewidzenia się włosy zdążyły jej zjaśnieć od słońca; na twarzy przybyło piegów. A jednak wydaje mi się być młodszą niż wtedy.

- Och, to ty - odzywam się wysokim, nerwowym głosem.

- Spodziewałaś się kogoś innego?

- Nie, nikogo się nie spodziewałam. Mieszkam sama - mówię cokolwiek niedorzecznie. Za kogo ta mała ruda w ogóle mnie ma?

- W zasadzie to przyszliśmy we dwójkę.

Wychyłam się zza progu. Rozglądam się: nie ma nikogo.

- Będziemy mieli dziecko.

Nie do końca pojmuję.

-Jestem w ciąży. Nie wpuścisz mnie?

- Ciao! - zatraskuję jej drzwi przed nosem. Dziecko!

Myśl o nim paraliżuje. To niemożliwe, abyśmy my... Czy to jest jednak okropne? Brak mi tchu. W ułamku sekundy powraca do mnie obraz nagiej matki, z blizną po cesarskim cięciu na podbrzuszu. Czy kiedy dorastałem w świecie konsumpcji i pośpiechu, zeszpecenie to nie było dla mnie rzeczą najbardziej godną pożądania? Symbolem kobiety bardziej jednoznacznym niż ślad po szmince rozsmarowany na poszewce, niż pręga od bieliźnianego pasa

na udzie? Symbolem niedostępnym, przynoszącym udęczenie w parne wieczory, kiedy pacykowałam się jak wiedźma, udając, że zarost twarzy nie wychodzi mi spod pudru? Jednak ja nie potrafię być ojcem. Kim więc jestem? Kim będę?

Rudowłosa siedzi na schodach przeciwpożarowych... Musiała słyszeć, jak skrzypią drzwi, a ranne pantofle szurają po stopniach oproszonych piaskiem z niezliczonej ilości par butów.

- Przecież go chcesz - odwraca się, kiedy stoję tuż za nią, tak blisko, że powietrze owiewające ją wycina jednocześnie i przestrzeń dla mnie.

Siadam obok i wzdycham:

- Tyle jest do zrobienia. Trzeba zawiadomić twoich rodziców, moją matkę. Znaleźć kościół. Załatwić wesele... Dłonie składam na kościstych kolanach. Przytrzymuję szlafrok, by je zakryć. Są brzydkie, obce, ale teraz to nie jest takie ważne jak wczoraj. Ciało przestało się liczyć, liczą się dzielące komórki, które dopiero ciałem mają się stać; człowiekiem znacznie doskonalszym niż ja.

- Zastanawiam się... - mamrocze, jakby miała w ustach żabę.

- Tak? - nieokreślony niepokój przybiera na sile.

Rudowłosa patrzy na moje ręce z idealnie wykonanym french manikiurem. Chcę zwinąć pięść, ale nie pozwala. Nie tłumiąc już śmiechu, mówi poufałym, siostrzanym tonem:

- Zastanawiam się, która z nas pójdzie w sukni.

To, jakiego rodzajnika użyła, nie umyka uwadze. Wtóruję Rudowłosej, bo tego dnia wszystko jest proste.

## SPIS TREŚCI

Naga	7
Kochanka	18
Pępek	33
Mama	54

Wdowa	64
Zgwałcona	78
Samotna	87
Alicja	98
Śmierć jedwabnika	122
Transs	138

IZABELA SZOLC - pisarka, autorka książek: Cichy zabójca, Ciotka małych dziewczynek, Połowa nocy, Opętanie, Jehannette, Lęk wysokości, Hebanowy świat, Wszystkiego najlepszego. Publikuje felietony i opowiadania w magazynie literackim „Bluszcz”. Nauczycielka kreatywnego pisania w szkole „Pasja Pisania”. Wielbicielka męża, kobiet i zwierząt kolejność do przedyskutowania...